płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—31.III.1989 6

Dzień dobry z uśmiechem

Zajączki i pisanki z Gór Rudawskich

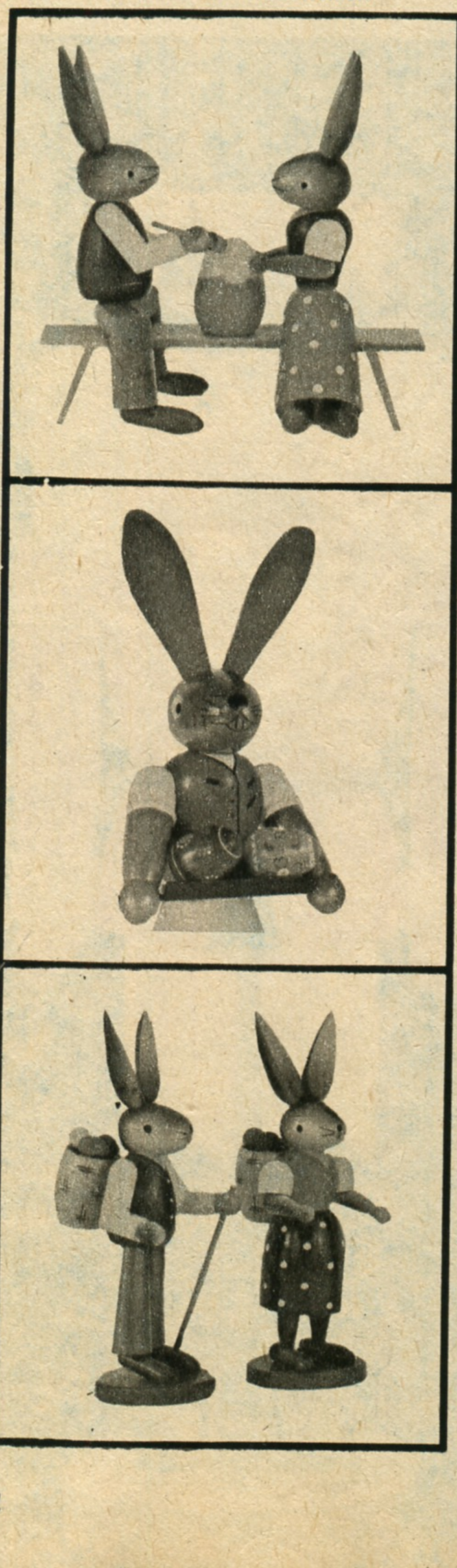

A TO CIEKAWE!

NAJWIĘKSZĄ „potęgą morską" wśród krajów pozbawionych dostępu do morza jest Szwajcaria, która posiada 24 statki. Na drugim miejscu pod tym względem znajduje się Czechosłowacja — 14 statków, na trzecim — Węgry — 13 statków. Czwarte miejsce zajmuje Austria, która ma 11 statków.

●

JEDYNYM na świecie morzem, które nie ma brzegów, jest Morze Sargassowe, znajdujące się na Oceanie Atlantyckim. Jego nazwa pochodzi od glonów sargassum, pokrywających powierzchnię tego morza. Morze Sargassowe zmienia się w różne odcienie zieleni w zależności od ilości i zasięgu występujących wodorostów. A na to mają wpływ wiatry i prądy morskie.

●

BAŁTYK, niewielkie płytkie morze, jest szczególnie narażony na zanieczyszczenie. Przy jego brzegach żyje 140 mln ludzi, pływa tam jednorazowo około 10 tys. statków, kutrów i łodzi rybackich, a liczne wpadające do niego rzeki przynoszą niestety wciąż nowe zanieczyszczenia.

RYBY oddychają skrzelami, ale w rzekach Azji, Ameryki Południowej i Australii żyją ryby oddychające płucami.

Ryby te mogą przetrwać bardzo długą suszę, podczas której wysychają rzeki i mniejsze jeziora. Zagrzebują się wówczas w wilgotnym mule, a kiedy muł wyschnie — ryba zostaje jakby zamurowana w twardej glinie. Procesy życiowe jej organizmu zostają spowolnione, ale żyje i nadal oddycha przez otworki w mule. W ten sposób może trwać nawet cztery lata. Gdy nadejdą deszcze i glina rozmięknie, ryba wraca do normalnego życia.

●

WODY mórz i oceanów są słone. Ale w wodach Atlantyku na wschód od Florydy istnieje kilkukilometrowe pasmo słodkiej wody. Różni się ona od wody morskiej nie tylko smakiem, ale również kolorem i temperaturą. Woda ta jest tak czysta i smaczna, że przepływające tamtędy statki uzupełniają nią swoje zapasy wody do picia. Uczeni zbadali, że na dnie oceanu w tych okolicach płynie szeroki pas słodkiej wody.

Nasza okładka

Dziadki do orzechów z Gór Rudawskich w NRD (patrz str. 27—29)

DZIECI NA WIELKANOC

(fragment)

Dzieci na Wielkanoc są inne niż zazwyczaj,
w dzieciach na Wielkanoc jest moc tajemnicza,
dzieci na Wielkanoc
wstają bardzo rano
i pytają: — Dlaczego dzwony tak głośno krzyczą?

Dzieci na Wielkanoc mają czerwone usta,
czerwonymi ustami plotą różne głupstwa:
czy strażak śpi na wieży,
czy słońce to jest księżyc
i dlaczego hiacynty zaglądają w lustra.

Konstanty Ildefons Gałczyński

Rys. Hanna Nowak

KOT SZARIK

(wspomnienie z lat wojny)

Stefan znalazł na ulicy i przyniósł w kieszeni waciaka szary, żałośnie miauczący kłębuszek. Kociątko nie umiało jeszcze pić. Kiedy mu podsunęłam spodek napełniony ciepłym mlekiem, najpierw wlazł do środka

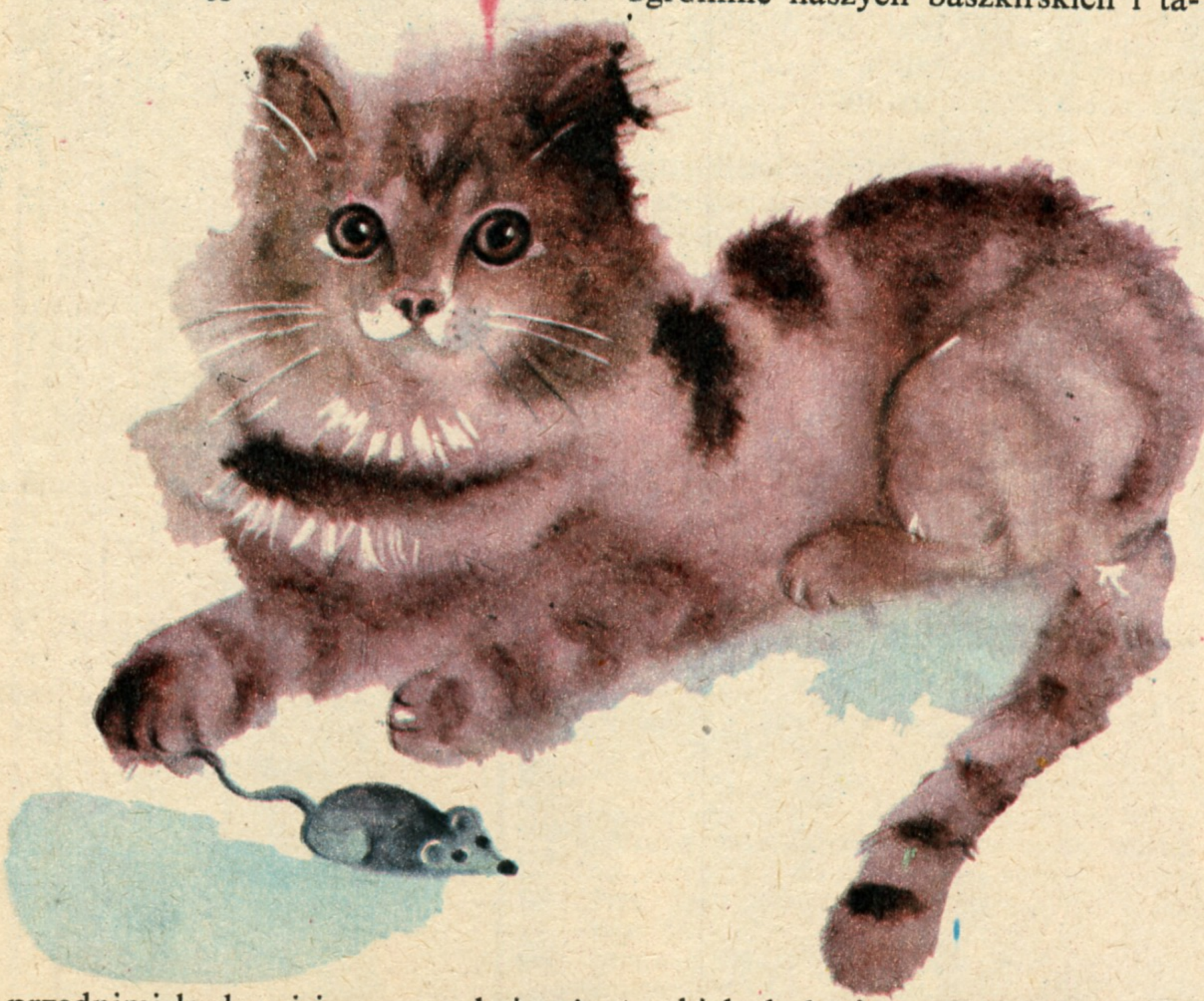

przednimi łapkami i umorusał się aż po mętne zielonawe ślepki. Spróbował jednak znowu i za drugim razem zaczął już wyciągać różowy języczek. Pił, zachłystując się co chwila.

Gdy się najadł, owinęłam go ciepłą chustką i położyłam sobie na kolanach. Zamruczał głośno i w naszej ubogiej izbie zrobiło się od razu weselej i przytulniej.

Nazwaliśmy go Szarikiem, gdyż był szary, lekko pręgowany, jak nasze polskie zwykłe podwórzowe koty. Ale w Mijakach powiązano to kocie imię z rosyjskim słowem „szarik" — co po polsku znaczy „kulka". Kociątko zresztą rzeczywiście przypominało małą puszystą kulkę. Z czasem jednak wyrosło na pięknego, niezbyt dużego kota, którego nazywaliśmy uroczyście Szarikiem Szarikowiczem. Bawiło to ogromnie naszych baszkirskich i tatarskich kolegów nauczycieli, zwłaszcza że jeden z nich, łysy matematyk Szakir Szarikowicz, czuł się dotknięty tą zbieżnością imion i dąsał się, kiedy ktoś w jego obecności pytał o Szarika.

Szarik zasłynął wkrótce jako znakomity łowca myszy. Chwalił się tym zabawnie, przynosząc swoją zdobycz do domu. Kiedy go gniewnie przepędzałam, wybiegał na podwórze i zjawiał się dopiero wieczorem, obrażony,

iż nie doceniam jego myśliwskich talentów.

Każda sława, nawet kocia, ma swoje cienie. Szarika zazdroszczono nam w Mijakach, gdyż myszy były tu dokuczliwą plagą. Pewnego dnia jedna z mieszkanek wsi przysłała do mnie swego synka z prośbą, abym na kilka dni wypożyczyła jej mojego kota.

Nie miałam ochoty oddawać Szarika w obce ręce, na drugi koniec wioski. Ale jak tu odmówić przysługi?

— Słuchaj, chłopcze — powiedziałam z powagą. — Czy tobie byłoby przyjemnie, gdyby twoja matka oddała cię na jakiś czas do domu sąsiada?

Chłopiec spojrzał na mnie ze zdziwieniem. W jego skośnych oczach dojrzałam błysk ironii.

— Ja jestem małaj [1] — powiedział z powagą. — Dzieci się nie pożycza. Ale kota?!

Poczułam się nieswojo. Rzeczywiście, jak można kota, nawet gdy jest to mój Szarik Szarikowicz, porównywać z dzieckiem?

— Słusznie — przyznałam. — Kot to tylko kot. Ale Szarik nie jest takim zwykłym kotem. To kot wykształcony, rozumiesz?

Wykształcony? Nie, chłopiec nie rozumiał tego słowa.

— Taki, co wiele umie. Uczony. Belemle [2] — przypomniałam sobie wyraz tatarski.

— Belemle? — powtórzył i uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Tak, tak! Zaraz się przekonasz — zapewniałam. — Powiedz mi, czy ty znasz jeszcze jakiś język oprócz tatarskiego?

— Ja... — zająknął się. — Znam trochę rosyjski.

Widziałam, że chłopiec traci pewność siebie, i już z triumfem ciągnęłam dalej:

— A więc ty znasz tatarski, bo to twój język ojczysty, rosyjski zaś tylko troszkę. Tymczasem Szarik Szarikowicz zna, oczywiście, swój koci język, ale oprócz tego rozumie po tatarsku, po polsku i po rosyjsku. No, powiedz do niego coś po tatarsku, choćby: „kotku". Zobaczysz, że ci odpowie.

Chłopiec spojrzał niepewnie na Szarika leżącego pod piecem. Wreszcie odezwał się cicho:

— Psej, psej [3]! Ps, ps, ps... Kil manda [4]!

Szarik podniósł swój kształtny łebek, wstał przeciągając się leniwie i miauknął pytająco. Triumfowałam:

— A teraz ja zawołam po polsku albo po rosyjsku. No, jak wołać?

— Po polsku.

— Kici, kici, kici! — zawołałam. I już miałam na kolanach miękki koci kształt, ocierający się z mruczeniem o moje ręce.

— No i co? Wierzysz mi teraz, że to jest kot uczony i nie można go pożyczać nikomu? Idź i powiedz to mamie.

Tuląc do siebie Szarika pospiesznie wyprowadziłam za drzwi małego gościa.

Gabriela Pauszer-Klonowska
Rys. Ewa Salamon

Fragment opowiadania pt. „Baran, kot i kura" z tomu „Moje miłe zwierzaki"

---

[1] Małaj (tatar.) — chłopiec
[2] Belemle (tatar.) — uczony
[3] Psej (tatar.) — kot
[4] Kil manda (tatar.) — chodź tutaj

Informacje nadsyłajcie pod adresem redakcji „Płomyczka": 00-950 Warszawa, skr. pocztowa 380.

Drodzy Czytelnicy!

Przykro nam bardzo, ale niestety od 1 lipca br. musimy podnieść cenę „Płomyczka". Będzie kosztować 100 zł.

W związku z tym począwszy od drugiego półrocza płacimy za prenumeratę: **kwartalnie 600 zł, półrocznie 1200 zł, rocznie 2400 zł.**

PREZYDENT MIASTA WARSZAWY

W Warszawie Józef Łukaszewicz, ten sam, który zaprzysięgał i wpisywał do Ksiąg Mieszczańskich Małachowskiego i Zakrzewskiego, kończył właśnie swoją kadencję prezydencką.

Hugo Kołłątaj i Ignacy Potocki, twórcy Konstytucji 3 maja, przemyśliwali już nad tym, kogo wysunąć na ten wysoki urząd.

— Powinien to być ktoś spośród posłów sejmowych. Oczywiście zwolennik reform — twierdził Kołłątaj.

Potocki dodawał, że najlepiej byłoby wybrać kogoś takiego, kto właśnie wpisał się do Ksiąg Mieszczaństwa.

— Nie mieszczanin, ale szlachcic, który ogłosił się mieszczaninem — podkreślał.

— Takich posłów jest, zdaje się, czterdziestu — wtrącił marszałek Małachowski, u którego w domu naradzano się nad tą sprawą.

— Ja bym proponował posła inflanckiego, Józefa Weyssenhoffa. Jest młody, zdolny, energiczny. A że nie jest bogaty, to mu pensja prezydenta bardzo się przyda. Dwanaście tysięcy złotych polskich to niezły grosz — wystąpił ze swoim kandydatem Hugo Kołłątaj.

— O ile wiem, Weyssenhoff zabiega o jakąś funkcję dyplomatyczną — zauważył Ignacy Potocki.

— Postaram się go namówić — zamknął dyskusję Kołłątaj.

Ale Weyssenhoff namówić się nie dał.

— Bardzo gorąco się tłumaczył, ale wymawiał się jeszcze goręcej — w kilka dni później relacjonował Kołłątaj swoje daremne działania. — Twierdzi, że owszem, ten urząd mu odpowiada, ale musi swój młody wiek obrócić na takie sprawy, które mu zapewnią stabilizację i stały dochód. Prezydentem będzie przez dwa lata. I co potem?

— A król kogo proponuje? — zapytał Potocki.

Wiedział, że Stanisław August również żywo interesuje się tym, komu powierzony zostanie ster rządów w stolicy.

— Król? Król wysunął kandydaturę Wyssogoty Zakrzewskiego, bo ten jak dotąd zawsze popierał królewskie posunięcia.

Ignacemu Potockiemu również odpowiadała kandydatura Zakrzewskiego.

— Zakrzewski to człowiek uczciwy i bezinteresowny. Nie jest dla siebie o urzędy troskliwy i nie zabiega o zaszczyty. Pracowity i oszczędny, nie

IGNACY WYSSOGOTA ZAKRZEWSKI

Rys. Szymon Kobyliński

będzie pobłażał marnotrawstwu dobra publicznego. A to już wiele.

Kołłątaj siedział pochmurny. Zakrzewski nie należał do jego zaufanych. Wydawał mu się zbyt umiarkowany.

„On by nie zorganizował czarnej procesji, jak Jan Dekert. Król go proponuje, gdyż uważa za regalistę*, który uśmierzy zbyt radykalne ambicje mieszczaństwa" — myślał niechętnie. Nie miał jednakże innego kandydata.

— Cóż. Wybór szlachcica na prezydenta stolicy będzie niepodważalnym świadectwem zjednoczenia stanu miejskiego ze stanem szlacheckim. Zgadzam się też z królem, że byleby Zakrzewskim odpowiednio pokierować, prawdziwa będzie z niego wygoda.

Ignacy Potocki zaprzeczył żywo:

— Zakrzewski to człowiek mądry i wykształcony. Ma w wielu sprawach sąd własny i niezależny, wątpię więc, czy komukolwiek pozwoli wodzić się na pasku. Ale przekonać go i nakłonić do sprawy słusznej — można zawsze. — I dodał, żeby już całkowicie rozchwiać wątpliwości Kołłątaja:

— Jest szlachcicem majętnym i wpływowym, znanym zarówno wśród warszawskiego mieszczaństwa, jak i szlachty. Liczyć się z nim będą więcej niż z Łukaszewiczem, a nawet Dekertem. Moim zdaniem, trudno o lepszego kandydata.

Rozeszli się zadowoleni z decyzji.

Najmniej zadowolony był sam Zakrzewski. Doskonale zdawał sobie sprawę z ogromu obowiązków, jakie spadłyby na niego, gdyby przyjął godność prezydenta.

Prezydent reprezentował miasto, zarządzał jego funduszami, rozdzielał podatki, przedkładał sejmowi dezyderaty miejskie, zwoływał zgromadzenia, odpowiadał za bezpieczeństwo

Ciąg dalszy na str. 10

ŚWIERSZCZE

Miałem cztery świerszcze,
muzykantów dziarskich.
Poszły sobie świerszcze
z domu przy Piekarskiej.

Wędrowały świerszcze
przez ogromny ogród,
dźwigały na skrzydłach
gęstwę gwiazd pogodną.

Ze Starego Miasta
poszły nad brzeg Wisły.
A czy wiecie, po co
świerszcze tutaj przyszły?

Aby wodę z Wisły pić?
Nie!
Aby w sieci wiązać nić?
Nie!
Półksiężyce z sobą zszyć?
Nie!

Ze Starego Miasta
przyszły na Żoliborz,
aby nocą śpiewać
kołysanki...
rybom.

Tadeusz Kubiak
Rys. Joanna Kusek

TO LUBIĘ

Podróże, kolej, zwierzęta, piękne książki.

KONSTANTY MARIA SOPOĆKO

Prof. Konstanty Maria Sopoćko rozpoczął współpracę z „Płomyczkiem" w 1925 roku, a w latach 1949—1955 był jego kierownikiem artystycznym.

Sop

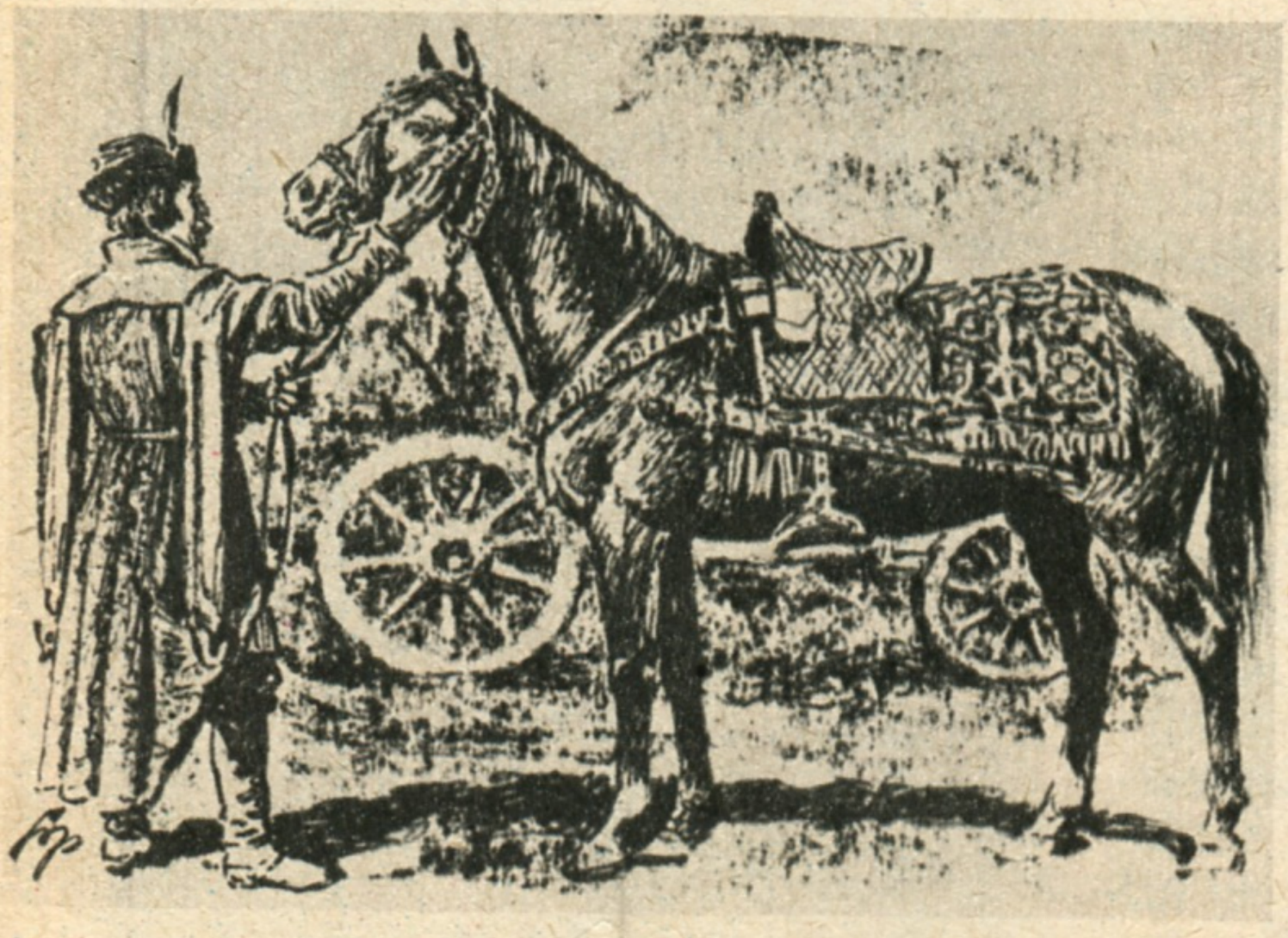

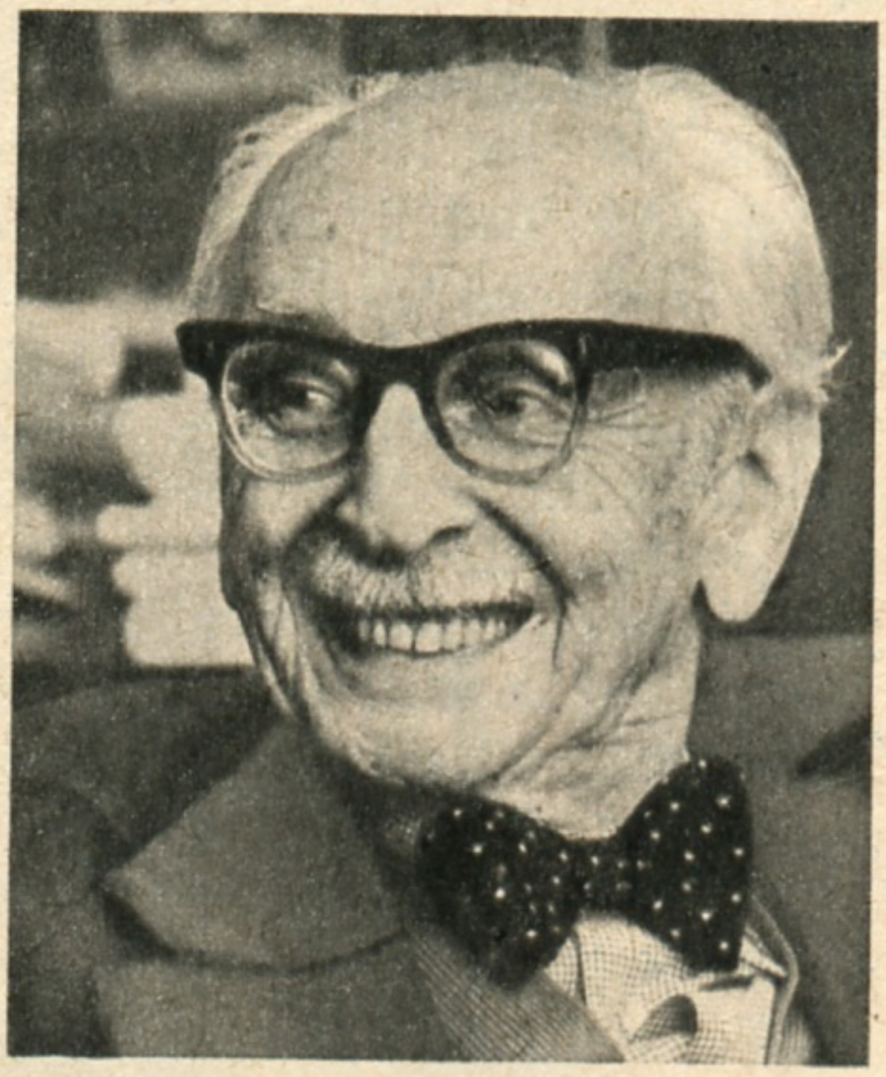

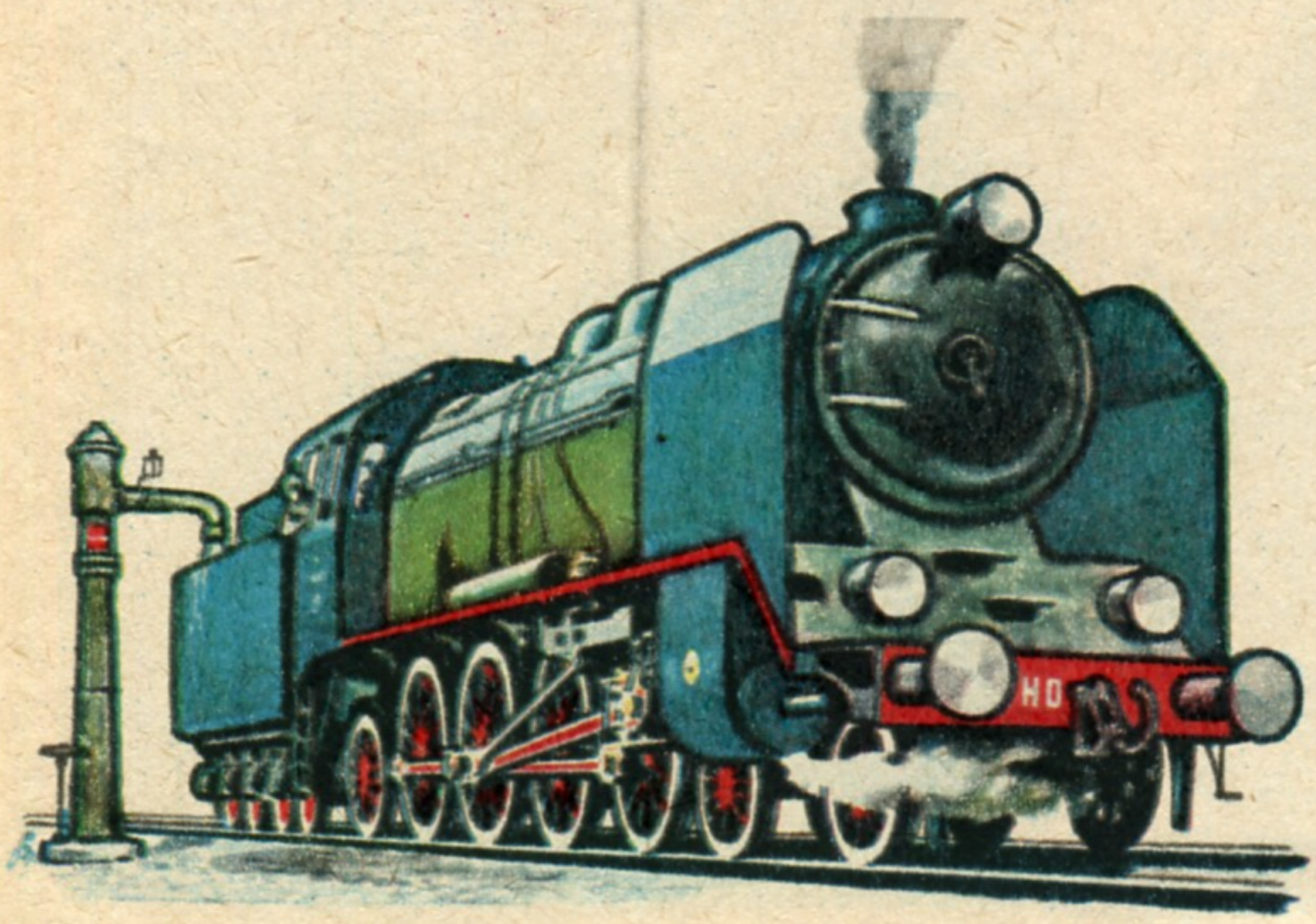

ZAWSZE INNYCH, NIE SIEBIE

Spójrzmy na te mądre, utrudzone oczy pisarki. Ileż dokumentów musiały przeczytać, zanim pani Gabriela Pauszer-Klonowska stworzyła ten swój cykl książek biograficznych o Julianie Ursynie Niemcewiczu, Elizie Orzeszkowej i Bolesławie Prusie?!

A teraz popatrzmy w Jej serce. To wcale nie takie trudne! Wystarczy pomyśleć, ile się napracowała, aby w pełnym świetle pokazać innych pisarzy.

Pokazać innych, nie siebie.

A po drodze do następnej, biograficznej powieści (o Ignacym Wyssogocie Zakrzewskim — prezydencie Warszawy za czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego) nie zapomniała i o kotku Szariku, co wszystkie języki świata rozumiał, i o dzielnym chłopcu tatarskim, którego poznała podczas wojny.

Tadeusz Chudy
Fot. Stefan Rutkowski

Ciąg dalszy ze str. 7

PREZYDENT MIASTA WARSZAWY

stolicy, składał raporty Komisji Policji, której podlegał.

Wszystko to nie było ani błahe, ani łatwe.

Jakże żałował, że nie ma przy nim pani Konstancji. Gdyby powiedziała: „Nie bierz na siebie takiego brzemienia", może by znalazł w sobie tyle siły, żeby się oprzeć życzeniu króla, Kołłątaja, Potockiego.

Ignacy Potocki i Hugo Kołłątaj twierdzili, że to przecież obowiązek. A od obowiązku nie uchylał się nigdy. (...)

Oficjalne wybory odbyły się w poniedziałek 16 kwietnia 1792 roku. Ignacy Wyssogota Zakrzewski został jednomyślnie obrany prezydentem i

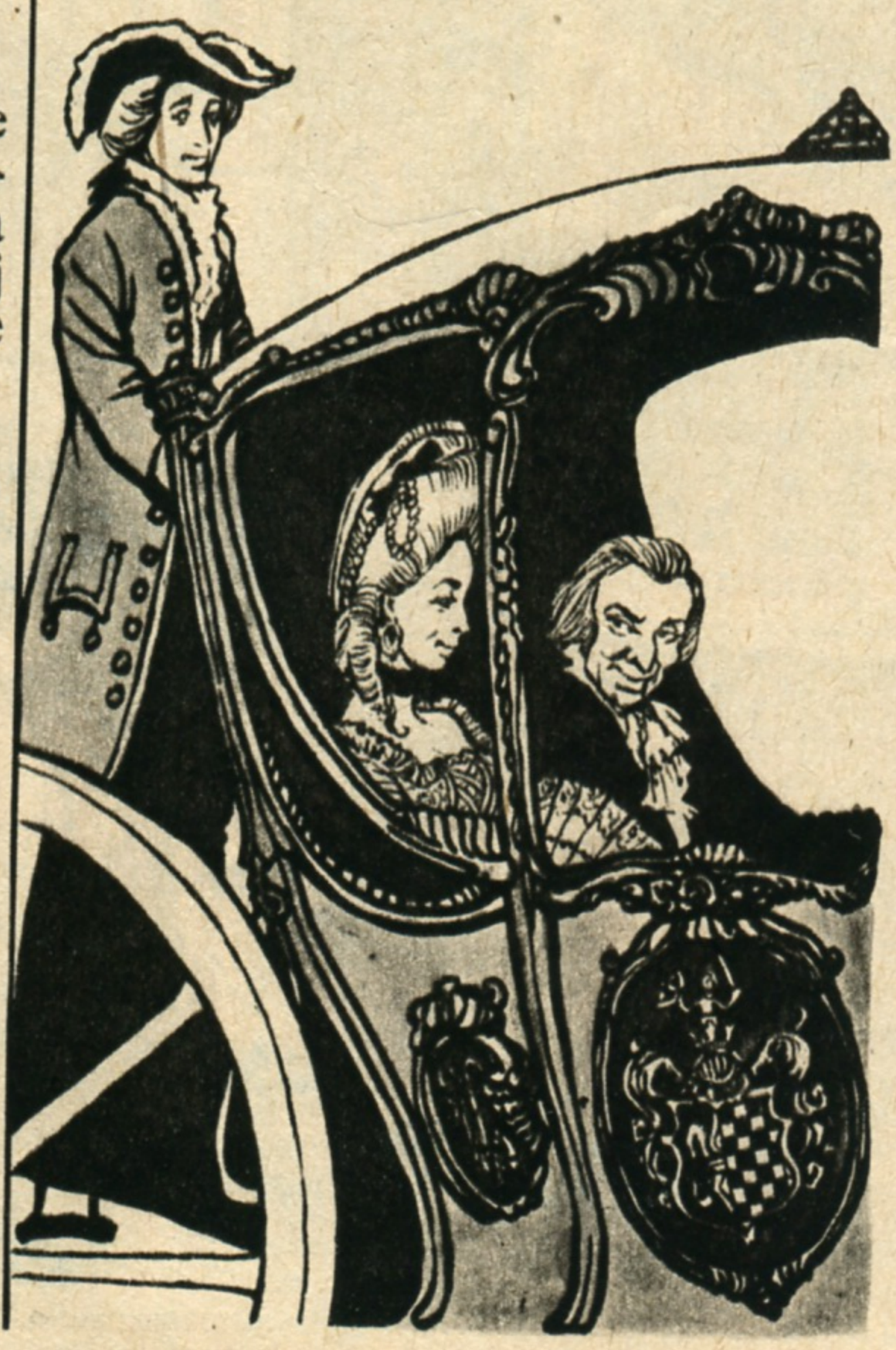

otrzymał z rąk Józefa Łukaszewicza klucze od bram Warszawy.

W trzy dni później, kiedy wybierał się na uroczyste posiedzenie magistratu, do pokoju wpadł nie wzywany Walek.

— Proszę jaśnie pana! Przed domem zebrał się tłum ludu. Mówią, że chcą powitać nowego ojca miasta!

Zakrzewski uchylił nieznacznie firanki i wyjrzał na ulicę.

— Powiedz stangretowi, niech wyprzęga konie — rozkazał chłopcu. — Pójdę pieszo.

Kiedy zszedł na dół, powitały go życzliwe okrzyki tłumu, który mu towarzyszył na Rynek. Tam stały cechy z chorągwiami, a w samym ratuszu zgromadził się cały nowo obrany magistrat. Wiceprezydent Józef Łukaszewicz wystąpił z krótką oracją, a Zakrzewski odpowiedział na nią długim przemówieniem.

— Przezacna powszechności ludu miejskiego — zaczął, a następnie zwracając się właśnie do tej „przezacnej powszechności" przypomniał jej, że wolność „owo najmilsze dobrodziejstwo każdego człowieka i całego narodu", była w Polsce poważnie zagrożona. Spowodowały owo zagrożenie trzy czynniki: niekorzystne położenie geograficzne naszego kraju, zaborczość sąsiadów i rozprzężenie wewnętrzne. Temu właśnie rozprzężeniu położyła kres Ustawa Majowa. Zbliżyła ona do siebie szlachtę i mieszczaństwo „żadnego nie niszcząc ani nie zniżając stanu..."

Dziękując „przezacnym gminnym" za ich życzliwość, Zakrzewski zakończył zapewnieniem:

— Nie zaniedbam głosić hasła, iż dla dobra już wspólnej ojczyzny i umierać za nią oraz za najlepszego króla potraficie!

Gabriela Pauszer-Klonowska

Fragment z książki pt. „Rapsodia warszawska"

* Regalista (z łac.) — stronnik królewski.

Jak bym zachęcił przyjaciela do przeczytania mojej ulubionej książki?

Wiele czasu spędzam na czytaniu książek. W mojej domowej biblioteczce można znaleźć kilka interesujących tytułów. Najbardziej lubię książki o tematyce przygodowej i fantastycznej. Ulubionymi przeze mnie autorami są: Alfred Szklarski, Arkady Fiedler i Adam Bahdaj.

Kilka dni temu wracałem ze szkoły w nie najlepszym nastroju. Miałem dużo lekcji do odrobienia i zapowiedzianą klasówkę. „Ach, żeby były już wakacje"... pomyślałem. Wyobraziłem sobie lasy, pola, jeziora i z radością zacząłem marzyć o wakacyjnych przygodach. Wtedy właśnie przypomniałem sobie, że dostałem niedawno książkę pt. **„Wakacje z duchami" Adama Bahdaja.** Zapragnąłem ją przeczytać.

Lektura ta opowiada o trójce przyjaciół: Mandżaro, Perełce i Paragonie, którzy wyjechali razem na wakacje do położonej nad jeziorem leśniczówki. Chłopcy chcieli przeżyć jakieś niezwykłe przygody i dlatego założyli klub detektywów. Mieli jednak problem, bo w cichej, spokojnej wiosce brakowało „przestępców". Nagle, którejś nocy na zabytkowym zamku, który znajdował się po drugiej stronie jeziora, zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Na baszcie pojawiała się „Biała Pani" otoczona fluoryzującym światłem. Nasi bohaterowie mimo strachu przystąpili do działania. Podjęli kilka prób wyjaśnienia tego zjawiska, lecz bez skutku. W tym samym czasie uwagę chłopców zajęli goście, przybywający do pobliskich domów. Wszyscy oni byli „podejrzani" i śledzeni. Niektórzy z nich, jak na przykład mieszkańcy plebanii, rozmawiali często o tajemniczych płótnach. To poprowadziło detektywów po właściwym tropie. Mieli wiele kłopotliwych sytuacji i często popadali w tarapaty, ale w końcu pomogli w ujęciu złodziei obrazów i dowiedzieli się, kto straszył na zamku.

Kilka dni później spotkałem się z moim przyjacielem Wojtkiem. Zapytałem o jego letnie plany wyjazdowe. Zaproponowałem, abyśmy tegoroczne wakacje spędzili razem i założyli klub detektywów. Opowiedziałem mu krótko o tym, co może „zdziałać" taki klub. Bardzo to Wojtka zainteresowało i dopytywał się, skąd wziąłem ten pomysł. Przyznałem się, że z książki „Wakacje z duchami", i zaproponowałem mu przeczytanie jej.

Od tej pory Mandżaro, Perełka i Paragon stali się naszymi wspólnymi „kumplami".

Piotr Wrzosek
z Warszawy

NIKOMU NIE OBCE

Gdy idę dzisiaj Starym Miastem,
gdy sierpniowa rozbłyska gwiazda,
to zapominam, że tu kiedyś
nie było miasta.

Ale to miasto miało zostać,
i do tych ruin ludzie przyszli
i powrócili do swych progów
nad brzeg Wisły.

Nie było domów, dzisiaj domy
drzwi otwierają przed wędrowcem,
miasto serdeczne, miasto bliskie
nikomu nie obce.

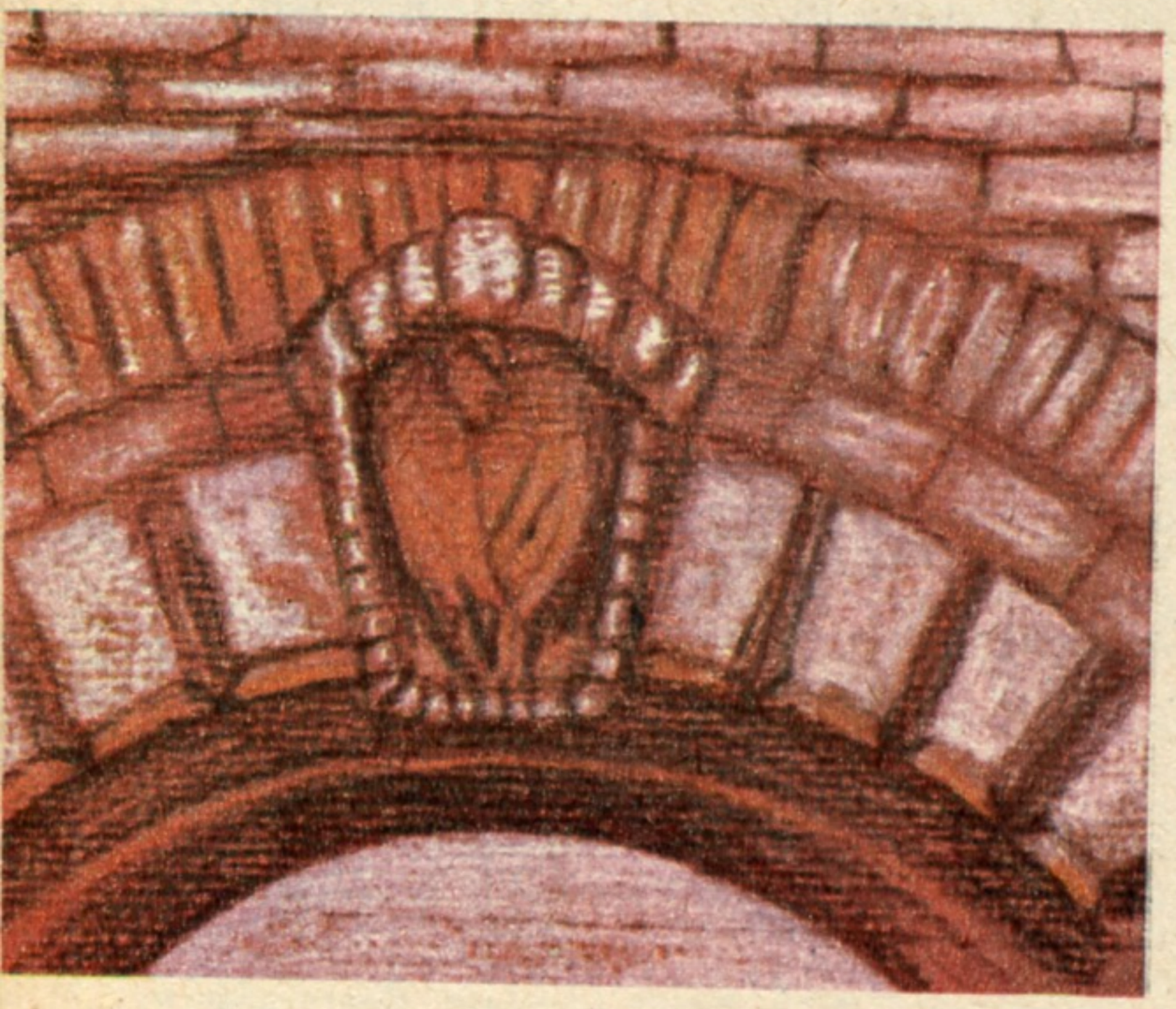

PIOSENKA WIECZOREM

Lubię, kiedy śpiewają wszyscy,
a najbardziej, gdy o Warszawie,
o zielonych wierzbach znad Wisły,
o łabędziach białych na stawie...

Lubię, kiedy niosą piosenkę
niby staropolski gościniec,
bo to miasto dobre i piękne
i błękitna Wisła wciąż płynie...

DO WNUKÓW

Znacie to tylko z historii.
Płonęło to nasze miasto.
Wasi dziadkowie widzieli,
jak wypalone już gasło.

Ale wrócili tu ludzie
z dalekich, najdalszych stron,
wrócili, aby budować
na nowo rodzinny dom.

A mieli ci wszyscy ludzie
marzenia skromne i proste.
Kto by pomyślał, Warszawo,
że w niebo strzelisz
wieżowcem!

Że będziesz piąć się wciąż wyżej
i ciągle wyżej w obłoki,
Warszawo zacisznych ogrodów
i strzelistości wysokiej.

Więc rośnij, moja Warszawo,
strzelista, smukła, skrzydlata,
moja Warszawo przyszłości
w gołębiach,
topolach,
kwiatach!

Wiersze Tadeusza Kubiaka
Fot. Zbigniew Raplewski

Rys. Joanna Kusek

WRÓCILIŚMY NAD BAŁTYK

Był marzec 1945 roku.

Dziewięć dni przebijali się żołnierze w stronę morza. Atakowały czołgi, biła artyleria, szturmowała nieustępliwie piechota. W krótkich chwilach wypoczynku, kiedy dymy rzedły nieco nad miastem, napływało słone powietrze znad Bałtyku. Potem dymy zasłaniały wszystko i powietrze stawało się duszne, ciężkie, męczące. Wreszcie na ruinach kołobrzeskiego portu załopotał zwycięsko sztandar biało-czerwony.

Ucichły armaty, słychać było wyraźnie szum fal morskich, które białymi grzywami obmywały piaszczysty brzeg.

Stanęli w szeregach żołnierze, którzy niedawno przebijali się tutaj. Przyśpieszonym rytmem biły serca rozgrzane walką i dumą. Brali przecież w posiadanie stare, piastowskie ziemie.

Pada komenda. Prężą się szeregi. Występuje sierżant Franciszek Niewidziajło, żołnierz I Armii Wojska Polskiego. Zbliża się do morza... Stanął, wyciągnął rękę trzymając w niej pierścień. Dyszy ciężko, chce mówić, ale wzruszenie ściska mu krtań. Wreszcie padają pierwsze słowa. Początkowo ciche, potem mocne, wyraziste, głośne jak szum fal.

„Po ciężkim, krwawym trudzie doszliśmy do Ciebie, Morze. Nie na marne poszedł nasz trud. Przysięgamy, że nie opuścimy Cię nigdy. Rzucając ten pierścień w falę, biorąc z Tobą ślub, przysięgamy, żeś było i zawsze będziesz nasze".

Ręka zatoczyła łuk i rzucony pierścień plusnął w wodę. Poruszyły się szeregi, żołnierze wchodzili do wody i brodzili w niej jak dzieci. Morze jak gdyby przycichło, fale łasiły się miękko, łagodnie obmywały im buty...

Nagle zagrzmiało wzdłuż wybrzeża. Huknęły armaty, zaterkotały karabiny, wystrzeliły w górę kolorowe rakiety. Były to strzały radości i zwycięstwa.

Żołnierze czcili uroczystą chwilę.

Stanisław Aleksandrzak

Rys. Maciej Jędrysik

ŻOŁNIERSKI PIERŚCIEŃ

Płyną rzeki w morze z wysokich gór.
Szli żołnierze falą z wiosennych pól.

Szli z borów i lasów, ze spalonych wsi,
z miast w gruz obróconych — nie szczędzili krwi.

Wstąpił żołnierz w morze, w Bałtyku toń,
pochylił się sztandar, wyciągnęła dłoń.

Rzucił żołnierz pierścień. Złoto, w morze idź!
Morze poślubione na zawsze od dziś.

Tadeusz Kubiak

BARANKI WIELKANOCNE
Z KOLEKCJI BARBARY JONSCHER

Fot. Barbara Mudryk-Gołdon

SŁOTA

Za oknami świerki stoją
chwiejne i szumiące.
A ty chodzisz po pokoju,
jak wcielone słońce.

Za oknami świerki mokre,
za świerkami Giewont.
Postój, miła, chwilę w oknie,
poświeć górom, drzewom.

CZEGO PRAGNĘ

Trawo zielona zielona
wyrośnij mi do kolan

Drzewo zielone
jak urzeczone

Słońce jak kolczyk

Drzewo rzuć z korony
zielony zielony zielony
zielony
liść

Na moje oczy

* * *

Przyniosłem z łąki
dla mojej matki
ptasie piosenki
i białe kwiatki.

Piosenki siadły
koło obrazu.
A białe kwiatki
wstawiłem w wazon.

Ptasie piosenki
wciąż czyrykały.
A kwiatki nocą
ślicznie pachniały.

Świtem piosenki
pomknęły w świat.
W wazonie został
wiosenny kwiat.

Wiersze Tadeusza Kubiaka
Rys. Wiesław Majchrzak

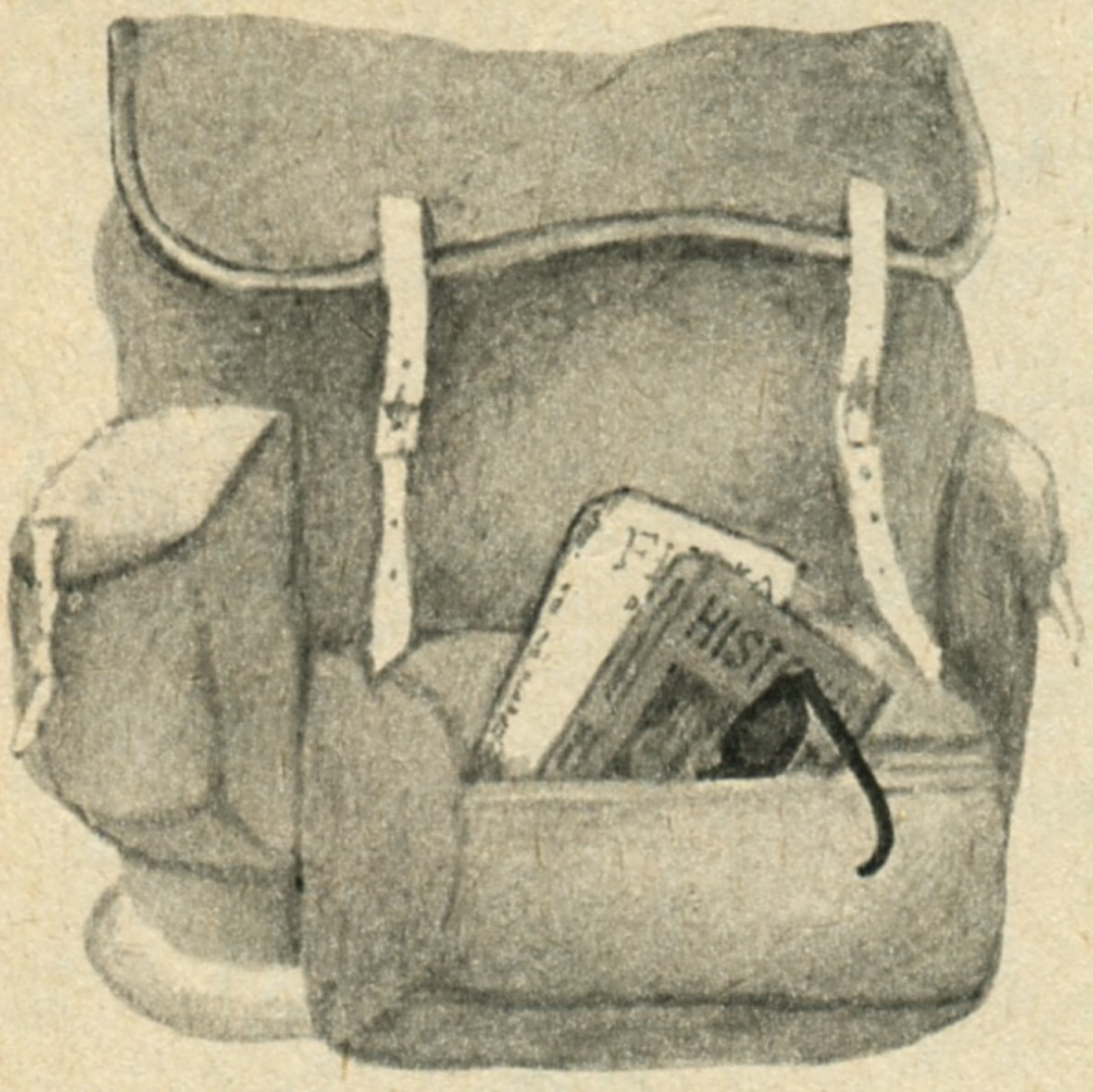

usta", ale w końcu dała spokój. Znała bardzo dużo piosenek. Zielony objął rękami kolana i patrzył na nią jak urzeczony. Wydawało mi się, że jego oczy błyszczą. Czyżby wzruszył się? Dziwne.

Ciemność, jaka przesłoniła Bieszczady, sprawiła, że przy ogniu zrobiło się jakoś przytulnie, nastrojowo i bezpiecznie. Nigdy nie byłem sentymentalny, ale właśnie wtedy pomyślałem o przemijaniu. Żal mi było, że ognisko wypali się, zalejemy je wodą i odejdziemy w ciemność. By przerwać te melancholijne rozmyślania, zaproponowałem, aby Zielony też coś zaśpiewał. Oświadczył nam, że na jego

PIERWSZA NOC 6 W GÓRACH

Profesora Puta bez żenady nazwaliśmy przemiłym staruszkiem, ponieważ Zielony zapewnił, że jego mózg ma więcej niż trzysta lat.

Postanowiliśmy przy namiocie w ogóle nie rozmawiać na żadne tematy, które mogłyby interesować profesora Puta i udawać, iż się nie domyślamy, że srebrzyste pudełko jest penetratorem fonicznym. Przez cały dzień mieliśmy odpoczywać, a dopiero nocą „wysłać" list i przenieść się na pole biwakowe.

Wieczorem rozpaliliśmy ognisko. Rozmowa nie kleiła się, więc Baśka zaproponowała, aby pośpiewać. Miała miły, melodyjny głos. Jeżeli o mnie chodzi, to wszyscy mówili, że słoń nadepnął mi na ucho. Coś w tym musi być, bo w szkole z powodzeniem psułem trzydziestoosobowy chór. Nauczyciel od śpiewu twierdził, że fałszuję wręcz genialnie. Baśka kilkakrotnie namawiała mnie, abym „otworzył

planecie w ogóle się nie śpiewa. Nie ma też muzyki takiej, jak na Ziemi. Bawią się przy kaszylakszy. Jest to rodzaj rozrywki dla nas zupełnie niezrozumiały. Podobno w kosmosie śpiewają tylko Ziemianie.

Około północy przystąpiliśmy do działania. Na płaskim kamieniu położyliśmy list i pudełko z kolczykiem. Zielony wysłał w przestrzeń sygnał wzywający pomoc z bazy. Nadajnik miał wielkość pudełka od zapałek, więc trudno mi było uwierzyć w jego ogromny zasięg. Najprościej byłoby włączyć nadajnik, położyć go na kamieniu wraz z listem i oddalić się, jednak Zielony chciał go sobie zatrzymać. Wolał mieć na wszelki wypadek możliwość kontaktu z bazą. Czekaliśmy ponad godzinę.

— Cofamy się! — zakomenderował nagle.

Stanęliśmy na wskazanym przez niego miejscu, on obszedł nas dookoła

rzucając co krok białe kulki. Kiedy skończył, stanął obok nas.

— Uważajcie, gdy zejdą na wysokość stu metrów, otoczymy się polem siłowym. Kopuła jest niewielka. Oszczędzajcie tlen.

Teraz Zielony przejął inicjatywę. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w niebo. Jedna z gwiazd zaczęła świecić coraz jaśniej. Już raz to widziałem. Gwiazda pęczniała, rosła w oczach, aż przybrała kształt dwóch złożonych denkami na zewnątrz talerzy. Obiekt zniżał się coraz bardziej. Ogromniał. Miejsce, gdzie staliśmy, zalało pomarańczowe światło. Rozległ się przeciągły syk i powietrze lekko zamgliło się. To pole siłowe. Obiekt zawisł nad wierzchołkami drzew.

Po chwili spłynęło z niego — dosłownie — na ziemię trzech mężczyzn w srebrzystych kombinezonach. Najdziwniejsze było to, że mieli również srebrzyste twarze.

Później dowiedziałem się, że są to roboty używane do niezbyt skomplikowanych zadań terenowych.

Ruszyły w naszą stronę. Zrobiło się bardzo duszno. Czułem, że cały się pocę. Roboty zatrzymały się o kilka kroków od nas i stanęły nieruchomo.

— Jeżeli będą za długo stać, to będziemy musieli wyłączyć pole. Inaczej się udusimy — szepnął Zielony.

Rzeczywiście, coraz trudniej było oddychać. Na szczęście roboty postały jeszcze chwilę, ale „widząc", że nie mają do nas dostępu, odeszły zabierając ze sobą pudełko z kolczykiem i list.

Po kilku minutach latający talerz umknął w gwiazdy, a my z ulgą wciągaliśmy w płuca cudowne, górskie powietrze.

BIWAK POD JAWORZCEM

Zanim zaczęło świtać, rozbiliśmy namiot na polu biwakowym pod Jaworzcem. Wybraliśmy miejsce na skraju, jak najdalej od bacówki i uczęszczanych ścieżek. Dodatkową osłonę stanowiły gęste olszynowe zarośla, rosnące tuż za płotem. Zachowywaliśmy ostrożność, chociaż wszystko wokół pogrążone było we śnie. Byliśmy tak bardzo zmęczeni, że postanowiliśmy iść spać, nie wystawiając warty. Wydawało nam się mało prawdopodobne, aby nad ranem, w dość zaludnionym miejscu, pojawili się kosmici.

Wstaliśmy koło południa i od razu spotkała nas niespodzianka. Poszliśmy do bacówki po wrzątek i pierwszą osobą, na którą natknęliśmy się, był wujek Tosiek, który zupełnie przypadkowo wstąpił tam do zaprzyjaźnionego kierownika. Zdziwił się, że spotkał nas pod Jaworzcem, podczas gdy mieliśmy znajdować się na obozie harcerskim w Dołżycy. Baśka udobruchała go jakoś, wymyślając na poczekaniu w miarę prawdopodobną historię.

— Co, jesteś zadowolony? — zwrócił się do mnie.

— Owszem, jest klawo.

— Przyjedziesz tu jeszcze?

— Pewnie, że przyjedzie — odpowiedziała za mnie Baśka. — Przecież wujek wie, że w Bieszczady przyjeżdża się raz, potem się tylko wraca.

Wujek pobył z nami niecałą godzinę. Opowiedział, co w tym czasie wydarzyło się w leśniczówce: że ciocia boi się wejść do spiżarki, że przyszła kartka od moich rodziców, że znalazł się ul porzucony w lesie.

— Jak to się znalazł? — zdziwiłem się.

— Normalnie. Stał sobie jakby nigdy nic.

— Słupki też były? — spytałem ponownie.

— Były. Wyglądało tak, jakby je ktoś z dużą siłą wcisnął w ziemię — kontynuował wujek — bo nie było śladów kopania.

— Dziwne — westchnęła Baśka.

— O, dziwne, dziwne — podchwycił wujek — ule przenoszą się z miejsca

na miejsce, po spiżarni buszują zielone diabły, a po niebie latają talerze.

— Jakie talerze? — spytaliśmy równocześnie.

— Taki jeden drwal widział w nocy.

Zamarłem.

— O! To ciekawe — zainteresowała się Baśka.

— Byłoby jeszcze ciekawsze, gdyby nie był pijany. Co za czasy. Kiedyś porządny pijak widywał białe myszki, a teraz talerze mu się ukazują.

— To wujek mu nie wierzy? — zapytałem.

— Bzdura. Siedzi teraz w „Myśliwskiej" w Baligrodzie i opowiada niestworzone historie każdemu, kto stawia. Naiwnych nigdy nie brakuje.

— A co by wujek zrobił, gdyby u wujka na podwórzu wylądował taki talerz? — spytałem znowu.

— Co bym zrobił? Poczęstowałbym ich kwaśnym mlekiem — zaśmiał się i wstał. — Zajrzę tu do was pojutrze. Gdybyście się gdzieś przenosili, zostawcie wiadomość u kierownika. I uważajcie na siebie.

Pożegnał się i odszedł. Wracaliśmy wolno do naszego namiotu nie podejrzewając, że czeka nas kolejna niespodzianka.

Pole namiotowe sprawiało wrażenie ospałego miasteczka. Prawie wszyscy turyści, którzy nie poszli w góry, wylegiwali się na słońcu. Pomiędzy namiotami uwijały się niezmordowane dzieciaki. Nagle zobaczyliśmy, że obok naszego namiotu „wyrósł" drugi. Pomarańczowy, wzorowo naciągnięty i zamknięty jak nasz. Coś nas tknęło. Przyśpieszyliśmy kroku. Zielony leżał na materacu i słuchał „Lata z radiem". Gdy wsunęliśmy się do środka namiotu, dał nam znak, abyśmy byli cicho i na migi pokazał, że obok zamieszkali kosmici. Baśka skinęła na mnie i wyszła na zewnątrz. Poszliśmy za bacówkę, aby się naradzić.

— Słuchaj, Wojtek, proponuję, abyś dzisiaj przez cały dzień gotował, sprzątał i był na zewnątrz namiotu. Ja z Zielonym będę siedzieć w środku. Muszę przemyśleć pewne sprawy.

Skrzywiłem się. Nigdy w życiu nie lubiłem myć garnków, a gotowanie to dla mnie czarna magia. Na samą myśl o szorowaniu menażek piaskiem dostałem gęsiej skóry.

— Nie mogę przecież za dużo się pokazywać — wyjaśniła dodatkowo. — Mam tu tak wielu znajomych, że sama mogę sprowadzić na Zielonego nieszczęście. Wiesz, jak to jest — mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

Westchnąłem tylko. Obiecałem pilnie obserwować namiot kosmitów i wróciliśmy. Cóż było robić. Zabrałem się więc do pichcenia obiadu. Poparzyłem sobie ręce po łokcie, przypaliłem wszystkie menażki, a gulasz wymieszałem z grysikiem. Po raz pierwszy zazdrościłem Zielonemu. Najadł się cebuli, czosnku i kwita. Moje dzieło kulinarne prawie w połowie zostało skonsumowane. A więc pięćdziesiąt procent sukcesu.

Po południu przekonałem się, że i tak jestem w lepszej sytuacji niż Baśka, która z Zielonym dusiła się w namiocie. Rozebrany do spodenek kręciłem się dokoła starając się podpatrzyć, co dzieje się u sąsiadów. W pomarańczowym namiocie panował idealny spokój. Nasz również sprawiał wrażenie opustoszałego. Czas dłużył się niemiłosiernie.

Nadszedł wreszcie upragniony wieczór. Mogliśmy teraz otworzyć namiot. Zielony włożył na swój obcisły kombinezon moje spodnie i koszulę. W głębi jego twarz nie rzucała się w oczy. Był to pomysł Baśki, chodziło o to, że gdyby ktoś nieopatrznie zapędził się w naszą stronę, nie mógłby w pierwszej chwili zauważyć czegoś szczególnego, a tym samym narobić hałasu na cały obóz.

Tymczasem ruch na polu biwakowym osłabł, bo większość turystów

skupiła się przy ogniskach. Zewsząd dochodziły śmiechy i śpiewy. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Baśka i ja siedzieliśmy przed namiotem. Zielony przysunął się do samego wyjścia i z ogromnym zainteresowaniem rozglądał się dokoła. Dla niego wszystko tu było nowe i tajemnicze. Cierpiał ogromnie, że nie mógł się swobodnie poruszać po obozie i napatrzeć się do woli tym wszystkim dziwom, jakich w życiu nie widział.

Nasza czujność nieco osłabła. Prawie przestaliśmy zwracać uwagę na sąsiadów. Dopijaliśmy herbatę (Zielony szałwiową), gdy z pomarańczowego namiotu dobiegł nas jakiś szmer. Po chwili wyszedł z niego młody, najwyżej dwudziestoletni mężczyzna i zbliżył się do nas. Oddalone ogniska i lampy rzucały tak nikłe światło, że nie można było przyjrzeć się dokładnie jego twarzy. Zamarliśmy w oczekiwaniu.

SPOTKANIE Z PROFESOREM

— Dobry wieczór. Można? — zagadnął nieznajomy i nie czekając na odpowiedź usiadł na brzegu materaca.

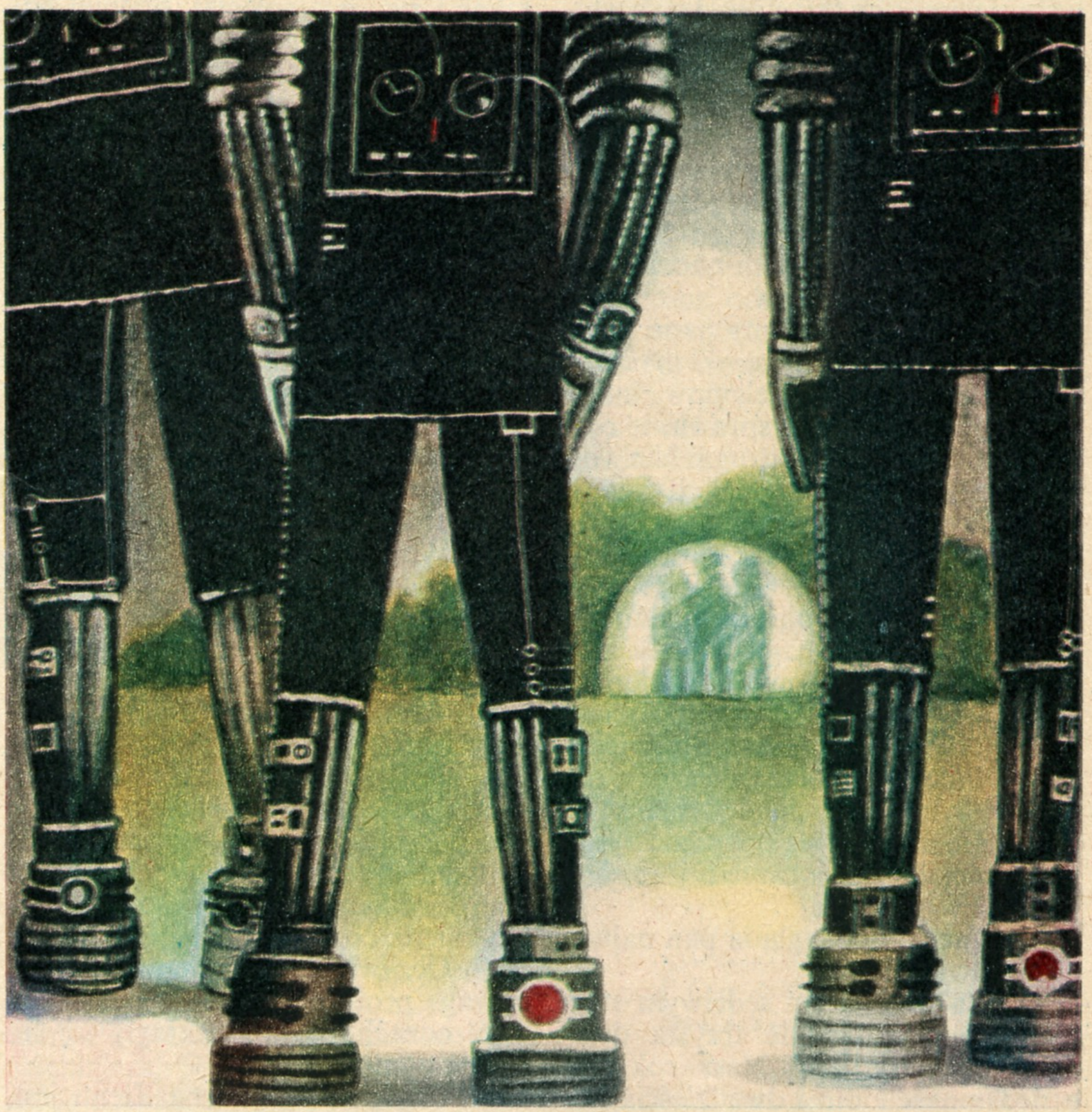

Milczeliśmy zupełnie zaskoczeni.

— Jestem profesor Put — przedstawił się. — Przyszedłem, ponieważ mnie zaprosiliście.

Teraz zamurowało nas kompletnie. „Ładny staruszek" — pomyślałem. Pierwsza ochłonęła Baśka. Wstała i uczyniła gest zaproszenia.

— Prosimy bardzo. Czym chata bogata. Wojtku, zrób profesorowi herbaty — powiedziała i usiadła.

Zapaliłem kuchenkę gazową. Niebieski płomień oświetlił nasze twarze. Przyjrzałem się profesorowi. A więc tak wyglądał. Niczym nie różnił się od tysięcy ziemskich turystów. Jasne włosy, opalona twarz, koszula w kratkę i sztruksowe spodnie. Ubranie i buty lekko przyniszczone.

Nastawiłem wodę.

— No i co, mój przyjacielu? — profesor zwrócił się do Zielonego, który siedział skulony z opuszczoną na piersi głową. — Mam nadzieję, że rozumiemy się bez słów.

— Bardzo polubiliśmy pana przyjaciela — wtrąciła Baśka — i myślę, iż nie obrazi się pan, jeżeli powiem, że zrozumienie to jedna sprawa, a rozbieżność interesów — druga. Nie wolno wymagać zrozumienia od kogoś, kogo chce się skrzywdzić.

Kończąc popatrzyła badawczo na profesora.

— Krzywda to pojęcie względne — gość uśmiechnął się. — Każdy, kto czuje się pokrzywdzony, powinien się przede wszystkim zastanowić, czy sam z własnej winy nie napytał sobie biedy.

— Panie profesorze, a ile pan ma lat? — wtrąciłem się do rozmowy. Ciągle nie mogłem się pogodzić z jego wyglądem.

— Czy to ważne?

— Ważne, bo wygląda pan najwyżej na dwadzieścia.

— Dla was jestem sędziwym starcem. Mam dokładnie trzysta dwadzieścia cztery lata. Nasz rok jest o siedemnaście dni i dwadzieścia minut dłuższy od ziemskiego.

— Widzi pan, czy jako zielony, czy biały, obnosi się pan w młodym ciele i ma pretensję, że inni nie chcą być starzy — mówiłem dalej.

— Taka jest kolej rzeczy. Wy, Ziemianie, też się starzejecie i czy z tego powodu ktoś buntuje się przeciwko władzy?

— Ale nikt nikomu nie zabiera jego ciała — zdenerwowałem się.

— Młody człowieku, przecież wasza ziemska historia zna analogiczne przypadki. Kiedyś ziemia była wspólną własnością. Każdy miał prawo mieszkać i żyć, gdzie chciał. Później powstały państwa, które podporządkowały sobie pewną powierzchnię. Nikt teraz tego nie kwestionuje, prawda?

— To co innego — powiedziałem. — Jednak w każdym państwie ludzie noszą swoje ciała, nie cudze.

— W pewnym sensie. Powstały miasta, które są odpowiednio zorganizowane. Każdy ma swoje mieszkanie i bez zgody odpowiednich władz nie może zająć innego, które mu się podoba. Czy to właściwe?

— Tak, ale to co innego — upierałem się.

— To jest to samo w naszych warunkach.

— Wojtku, woda kipi. Zrób i mnie coś do picia — przerwała Baśka.

Zaparzyłem herbatę bezpośrednio w menażce. Osłodziłem, rozlałem do kubków, podałem profesorowi i Baśce.

— Wiesz, co masz zrobić? — profesor zwrócił się do Zielonego.

— Jest pan pewien, że pozwolimy zabrać naszego przyjaciela? — zapytała Baśka z przekornym uśmiechem.

Byłem pewien, że ma już gotowy plan wyrolowania profesora Puta. Czekałem, co będzie dalej.

— Oczywiście — odpowiedział z powagą profesor.

W oczach Baśki zaiskrzyły się figlarne ogniki.

— Czy pan wie, że na Ziemi jest

taka gra... w zielone?

— Ciekawe...

— To może zmodyfikujemy trochę tę grę i zagramy o Zielonego, co?

— Jak? — profesor był wyraźnie zaskoczony.

— Załóżmy się. Jeżeli w ciągu trzech dni nie uda wam się go porwać, to my stawiamy warunki. I odwrotnie.

— To nie ma sensu. Przegracie od razu.

— Więc niczym pan nie ryzykuje — powiedziała.

Profesor roześmiał się głośno. Przez chwilę kręcił głową, jakby się mocno dziwił.

— Dobrze. Zgadzam się, ale stawiam jeden warunek. Nie wolno w sprawę nikogo więcej wtajemniczać.

— Dobrze. Zakład stoi. Od kiedy zaczynamy liczyć czas? Proponuję od szóstej rano — powiedziała Baśka.

— W porządku — zgodził się profesor z uśmiechem.

— Ale do tego czasu nie będziecie nas śledzić. Macie przecież techniczną przewagę. Dobrze? — Baśka spojrzała na profesora.

— Dobrze — odrzekł krótko. — Załatwione.

— Ale jak będzie z tymi warunkami? Czy w przypadku wygranej każdy z nas będzie mógł postawić po jednym, czy też jeden warunek będzie przysługiwał całej trójce? Lepiej to teraz ustalić, żeby potem nie było nieporozumień — ubezpieczałem się.

— Cha, cha, cha! — śmiał się profesor — oczywiście, że każdy z was może postawić swój jeden warunek, ale najpierw trzeba wygrać...

— W takim razie, żeby było sprawiedliwie, pan — w przypadku wygranej — będzie mógł postawić również trzy warunki.

— Wystarczą dwa. Z góry wam powiem jakie, abyście nie mieli złudzeń. Po pierwsze — zabiorę mojego uciekiniera, po drugie — całą tę historię wymażę z waszej pamięci. Taką mamy zasadę. Żeby nikt, kto się z nami zetknął, nie opowiadał o nas innym.

Profesor był wyraźnie zadowolony z obrotu sprawy. Baśka sięgnęła po kubek z herbatą i pociągnęła długi łyk. Zobaczyłem, jak jej oczy robią się okrągłe. Zakrztusiła się tak gwałtownie, że kubek wypadł z jej rąk i cała jego zawartość rozprysła się dookoła. Między innymi na ubranie profesora Puta. Błyskawicznie wyjęła chusteczkę i zaczęła go wycierać.

— Przepraszam — mówiła pokasłując. — Nie wiedziałam, że to szałwia.

— Nic się nie stało. Proszę się mną nie przejmować — powiedział profesor i wstał. — No, to was zostawiam. Musicie przecież ustalić jakiś plan działania. Nie życzę wam powodzenia, bo nie życzy się rzeczy niemożliwych. Dobranoc.

— Dobranoc. Życzymy owocnego polowania — odcięła się Baśka.

Profesor odszedł. Z pomarańczowego namiotu wyszło dwóch chłopców. Sprawnie go zwinęli, zarzucili plecaki i cała trójka przeszła przez pole biwakowe rozpływając się w ciemnościach.

Przez cały ten czas milczeliśmy. Nie było nam do śmiechu.

— Ale heca — powiedziałem, byle tylko coś powiedzieć.

— Zielony, co to jest?

Baśka wyciągnęła dłoń i oświetliła ją latarką. Trzymała w niej guzik od koszuli profesora Puta.

— Dobrze pomyślałeś — pochwaliła mnie. — Od razu zauważyłam, że te guziki to zwykła lipa. Po pierwsze — za duże do takiej koszuli, po drugie — dziurki są zwykłą imitacją.

Ciąg dalszy nastąpi

Ewa Barańska i Wiesław Kot
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

RYBY ŚPIEWAJĄ

Dzwoni telefon —
gdzieś ktoś z daleka...
— Słucham, kto mówi?
— Halo, tu rzeka.

— Kto, jaka rzeka?
To żart jest chyba!
— Nie, to nie żarty,
tu mówi ryba.

Proszę przyjeżdżać.
Gdy zajdzie słońce,
będziemy śpiewać,
dajemy koncert!

CO SIĘ ZWIERZĘTOM ŚNI

Zwierzęta też mają sny.
Na przykład taki koń —
śni, że ma ptasie skrzydła
albo że wielki jest jak słoń.

Za to słoń ogromny, co to ledwie
przez bramę przecisnąć się może,
śni, że jest mały jak myszka
i chrupie chleb w mysiej norze.

A myszce znów śni się, że jest
większa, silniejsza od kota
i goni, i pędzi koty
po strychach, po drzewach, po płotach.

Wiersze Tadeusza Kubiaka
Rys. Anna Kołakowska

ŚPIEWACY WCZESNEJ WIOSNY

W poprzednim numerze opisałem pierwsze wiosenne śpiewy kilku ptaków występujących także blisko zabudowań. Teraz opiszę inne, w tym leśne i łąkowe.

Bardzo interesujący jest, moim zdaniem, kos. W Polsce, a także w Środkowej i Zachodniej Europie kosy rozdzieliły się na dwie grupy: miejską i leśną (takie grupy nazywa się populacjami). Kosy miejskie nie odlatują na zimę, a zaczynają śpiewać już w lutym. Świtem, gdy jeszcze nie jeżdżą tramwaje i autobusy, a jasno jest i tak od latarni, kos gdzieś wśród podwórek i murów zaczyna „grać na flecie". Pora dnia i samo to zdarzenie są tak niezwykłe, iż łatwiej pomyśleć, że to gra radio, niż śpiewa ptak.

W lesie, a nawet blisko zabudowań, usłyszeć można w marcu i w kwietniu dziwne głosy: wydaje się, że skrzypi gdzieś wóz lub rower, to

Sójka i dzięcioł duży (poniżej)

Kowalik

Czajka

znów gdzieś nie chce zapalić silnik samochodu lub motocykla, to znów ktoś ciągnie kota za ogon, a ten drze się po kociemu. Patrzymy, rozglądamy się, a tu ani pojazdu, ani kota. Co najwyżej zaskrzeczy i odleci sójka — bo to ona była. A te różne zasłyszane, naśladowane przez nią głosy — to właśnie jej śpiew wiosenny.

Wnętrze lasu ożywiają teraz dzięcioły. Są to w ogóle głośne i ruchliwe ptaki, ale obecnie przechodzą same siebie. Dzięcioł zielony, mieszkaniec lasów liściastych, czasem rży jak koń, a słychać go nawet z odległości kilometra. Dzięcioł czarny woła chyba jeszcze głośniej: „klije", a w locie „kly, kly, kly", a dzięcioły pstre — „gigigi". Jakby tego było za mało, dzięcioły posługują się nie tylko głosem, ale wyszukują sobie rezonującą drzazgę lub złamany suchy konar i walą w niego dziobem jak z karabinu maszynowego. Drewno odpowiada, a po lesie niesie się warkot „wrrrrrrr", jakby kto przeciągał szybko patykiem po sztachetach lub prętach płotu.

Z dzięciołami w donośności głosu konkuruje kowalik. Siada on na gałęzi i nagle wydaje potężny głos „kwikwikwi", a kto znajdzie się w pobliżu, odruchowo rozgląda się za ptakiem wielkości kury, a nie za małym, nieco większym od wróbla kowalikiem, który za chwilę pobiegnie po pniu nawet głową w dół.

Gdy nie ma jeszcze wielu wędrownych przelotnych śpiewaków, a dzięcioły i kowaliki akurat milczą, słyszymy, podobnie jak i zimą, „sit srii", a także nie słyszany przedtem perlisty trel. To mamy okazję słyszeć pełzacza leśnego. Wkrótce zagłuszą go inni śpiewacy, gdy wrócą z wędrówki. Pełzacz leśny ma „brata" — pełzacza ogrodowego, bardzo podobnego z upierzenia. Pełzacz ogrodowy jednak nie wydaje takiego trelu.

Tyle o ptakach zimujących. Ale już właśnie przylatują ptaki wędrowne. Na polach zjawia się skowronek, na łąkach — czajka. Skowronek śpiewa wzlatując nad polem, a czajka nad łąką fika koziołki — to jej taniec godowy — i woła głośno „kiwit"! Skowronka — szarego ptaszka, wielkości półtora wróbla i podobnie szarobrązowo ubarwionego, łatwiej usłyszeć. Czajkę zaś, wielkości gołębia, i do tego czarno-białą, łatwo można i zobaczyć, i usłyszeć.

W lesie słyszeć można pod koniec marca dziwny głos, jakby krzyk sowy, wydobywający się jak spod ziemi, choć dolatuje do nas z wysoka — „hughugh guhu"! Tak ogłasza się poczciwy roślinożerny grzywacz, największy z naszych gołębi. Zajmuje teraz rewir i szykuje się do lęgów. Grzywacz, prócz „strasznego" głosu, klaska czasem skrzydłami w locie, tak jak wy klaszczecie uderzając dłonią o dłoń.

Tekst i fot. Wiktor Pawłowski

DBAMY O ZDROWIE

Bóle mięśni

„Dlaczego zawsze po lekcjach WF-u — pyta mnie w liście Estera Achremczyk z Nowej Soli — bolą mnie mięśnie rąk, nóg i szyi?"

Pierwszym powodem takich dolegliwości bywa to, że gimnastyka w szkole jest jedynym ćwiczeniem, jakie Estera w ciągu tygodnia wykonuje. A jej organizm za każdym razem reaguje tak, jak u osoby, która nie ćwiczyła dotąd i nagle postanowiła poprawić sobie kondycję zabierając się do ćwiczeń, i to dużej ich ilości na raz. Rada na to jest taka, aby codziennie, systematycznie wykonywać pewną porcję ćwiczeń, a wtedy organizm tak się do tego wdroży, że nie będzie się musiał przyzwyczajać do tych ćwiczeń od nowa. Zwykle po 4—5 dniach takich ćwiczeń bóle ustąpią.

Podczas bardzo dużych wysiłków fizycznych w mięśniach wytwarzają się znaczne ilości kwasu mlekowego, który przenika także do krwi i zakwasza ją. Właśnie obecność tego kwasu może być powodem bólów mięśni i mniejszej zdolności do wysiłków u osób, które bez odpowiednich treningów zabiorą się do ciężkich i długotrwałych prac lub osiągania wyczynów sportowych.

Innym powodem bólów mięśni po dużych wysiłkach, zwłaszcza połączonych z obfitym poceniem się, są bóle spowodowane niedoborami różnych składników pokarmowych, a zwłaszcza potasu, który przy obfitym poceniu się jest m. in. tracony. Brak potasu w komórkach powoduje osłabienie siły mięśniowej, łatwe zmęczenie, a może także wywoływać skurcze mięśni łydek i stóp. Lekiem w takich razach jest sok z marchwi, marchew gotowana lub spożywana na surowo. Wiele potasu zawiera zupa jarzynowa, sok z pomarańczy i pomidorów, sałatki jarzynowe.

Osoby, które intensywnie ćwiczą, nie powinny też zapominać o tym, o czym pisałem poprzednio, a mianowicie o piciu drożdży zaparzonych wrzącym mlekiem lub wrzącą wodą (1 łyżeczka na 1/2 szklanki). Zawarte w drożdżach witaminy grupy B wzmacniają siłę mięśni, a to poprawia zdolność do wysiłków.

Powody pojawiania się dolegliwości po wysiłkach fizycznych mogą być także inne. Jeśli bóle nie ustąpią po zastosowaniu wyżej wymienionych sposobów, trzeba będzie po radę zwrócić się do lekarza, bo być może te bóle wynikają np. z wadliwej postawy, np. płaskostopia, skrzywienia kręgosłupa itp.

dr Leszek Marek Krześniak

O TYM, JAK GÓRNIK WĄSATY GÓRNIKÓW RZEŹBIŁ

Zawsze, zaraz po powrocie do domu, najpierw sobie dobrze podjadł, a potem siadał na progu i patrząc na Rudawskie Góry, odpoczywał po ciężkiej górniczej pracy. Patrzył i fajkę sobie kurzył — pyk, pyk...

A czynił to tak jakoś zgrabnie, że mu się za każdym pyknięciem dym z fajki w figury kamratów układał. Albo w anioła, który górników z zapaloną świecą z podziemi wyprowadzał.

Ale natychmiast potem zjawiał się byle wietrzyk i wszystkie te dymne postaci niszczył Wąsatemu. Okropnie się tym trapił i dotąd wąsy szarpał ze złości, aż wreszcie wymyślił sposób przeciw złośliwości wiatru i nietrwałości dymu.

— Pyk, pyk — pyknął, i kiedy mu się dymek tytoniowy w sztygara ułożył, natychmiast fajkę odstawił i prędko go w kawałku drewna, jak żywego wyrzeźbił.

A potem znowu pyk-pyk i psa, i konia, i jeszcze innych górników z fajkami wyrzeźbił. A na koniec bogatego grafa, właściciela kopalni, wielkiego lenia i żarłoka.

— Będziesz odtąd — mówił Wąsaty, przy-

Pozytywka wykonana z okazji Roku Mozartowskiego (1990)

twierdzając grafowi na plecach dźwignię połączoną z zębiskami — najtwardsze orzechy górnikom rozgniatać!

*

— Kiedy to było? Kiedy pierwszy rudawski górnik zaczął w drzewie rzeźbić?

Chyba w XII wieku. A potem inni górnicy i ich synowie i praprawnukowie czynili to samo. Rzeźbili ludzików z fajkami, dziadki do orzechów oraz anioły, zwierzęta i różnych świętych. Ale nie tak zwyczajnie pojedyncze figurki rzeźbili, lecz w gromadzie, w pięknej biblijnej piramidzie podobnej trochę do naszej szopki krakowskiej. Z tą jednak różnicą, że szopka krakowska dostojnie w miejscu stoi, a piramida ciągle się kręci.

Wprawiają ją w ruch świece płonące u dołu. Ogrzewają powietrze. Powstaje lekki wiatr, który wznosząc się ponad piramidę popycha śmigło obracające całą budowlę.

No, ale żeby się ta piramida jeszcze świąteczniej, bożonarodzeniowo lub wielkanocnie kręciła, koniecznie potrzeba muzyki. Więc potomkowie tamtego pierwszego rudawskiego górnika-artysty, czyli Wąsatego, sporządzają pięknie grające pozytywki. Z wierzchu są z miłego w dotyku drewna, natomiast ich mechaniczne wnętrze zbudowane być musi, niestety, z materiału obcego ale trwalszego, czyli z metalu.

Tadeusz Chudy

W Rudawach, w górach na południu NRD, górnicza tradycja ludowa przeobraziła się w cały przemysł ludowych wyrobów artystycznych. Państwowy Kombinat „Sztuka Ludowa Rudaw" produkuje i rozprowadza po świecie miliony drewnianych cacek: ludziki z fajkami, piramidy, dziadki do orzechów; 60% sprzedają na zachód, 2—3% do krajów socjalistycznych.

Jest to najdrożej sprzedawane drewno, ale obok sukcesów mają rudawscy sprzedawcy także kłopoty: rośnie konkurencja ze strony Taiwanu i Chin. Te same wzory powielają konkurenci o wiele taniej, bo dysponują tańszą siłą roboczą i nowoczesnymi tokarkami.

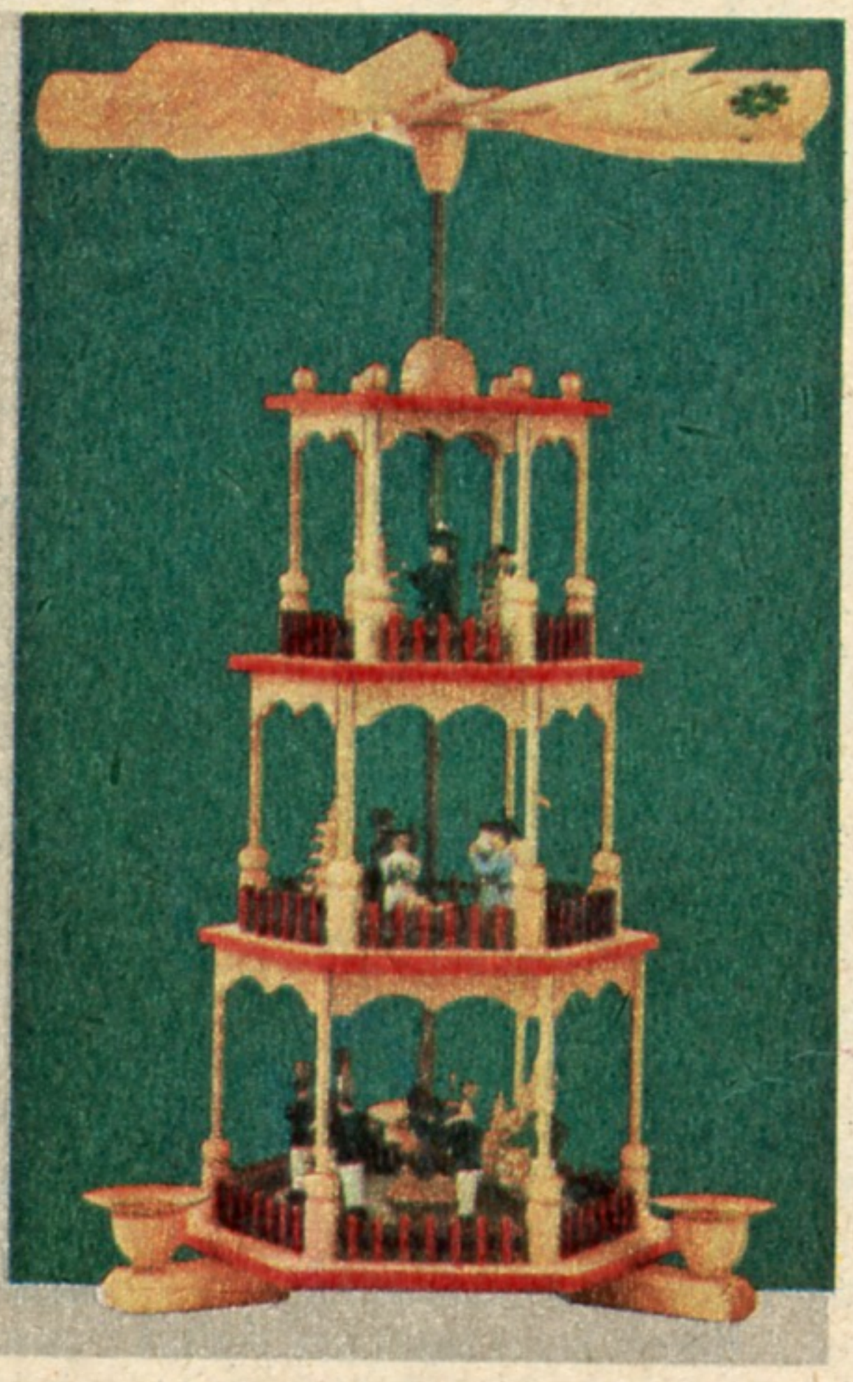

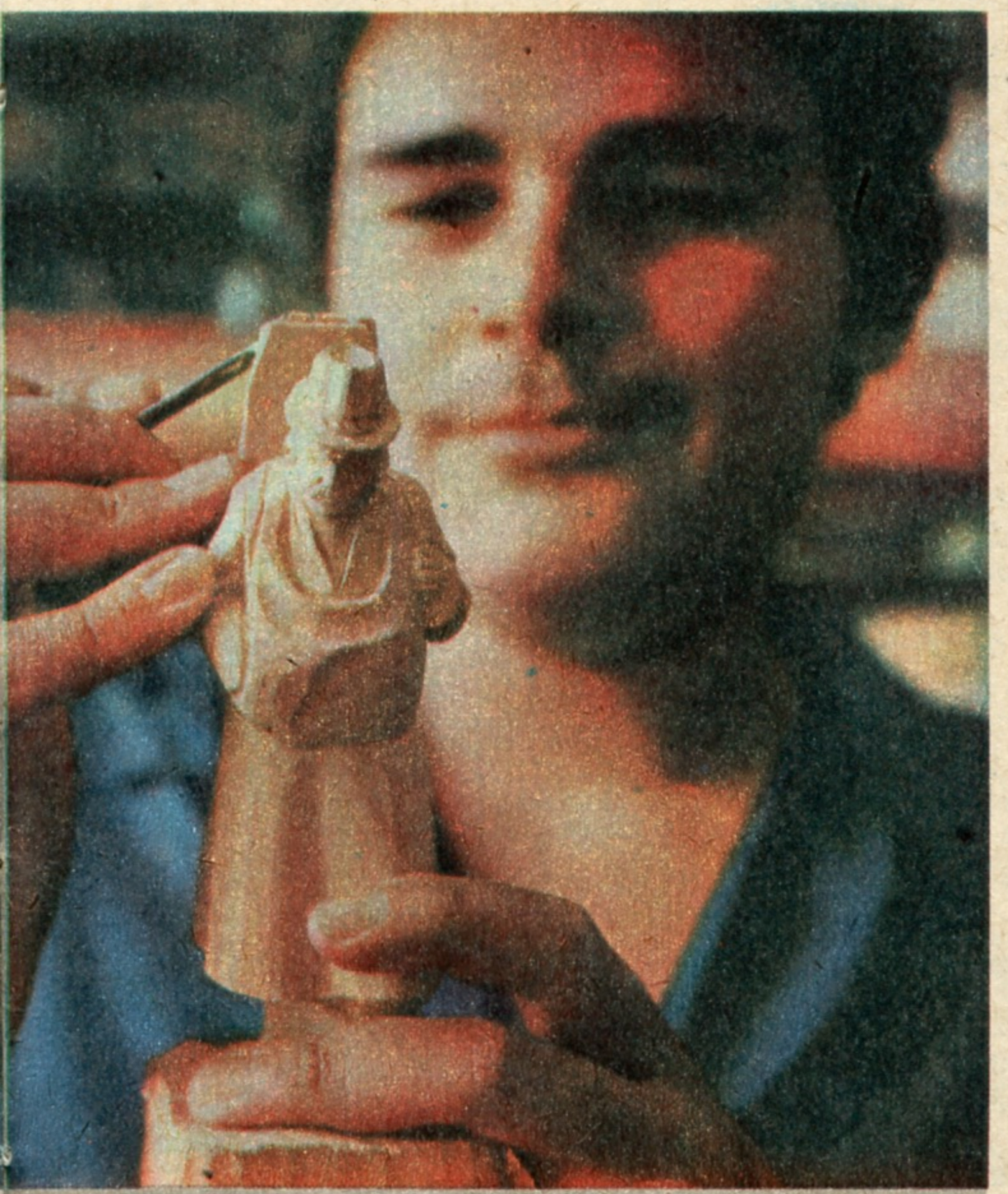

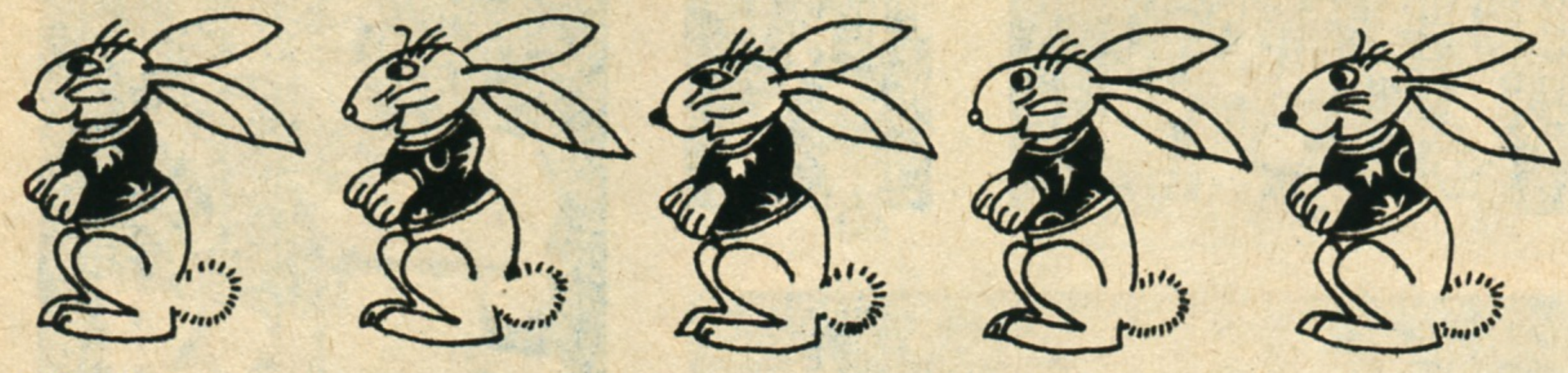

Odszukaj dwa jednakowe zajączki.

Ukryte zwierzęta

W niżej podanych zdaniach znajdują się nazwy różnych zwierząt. Odszukajcie je.

1. Znam sekret Bogusia.
2. Przeżyliśmy tu wzruszające chwile.
3. Krzyś maluje żółtą farbą.
4. Romek jest już u bramy.
5. W dali szumi las.
6. Nie złość się na Marka.
7. Janek widzi książkę na stole.
8. Koło sadu stoją dwaj chłopcy.
9. Kazię bardzo ucieszył ten prezent.
10. Nagi las okrył się zielenią.

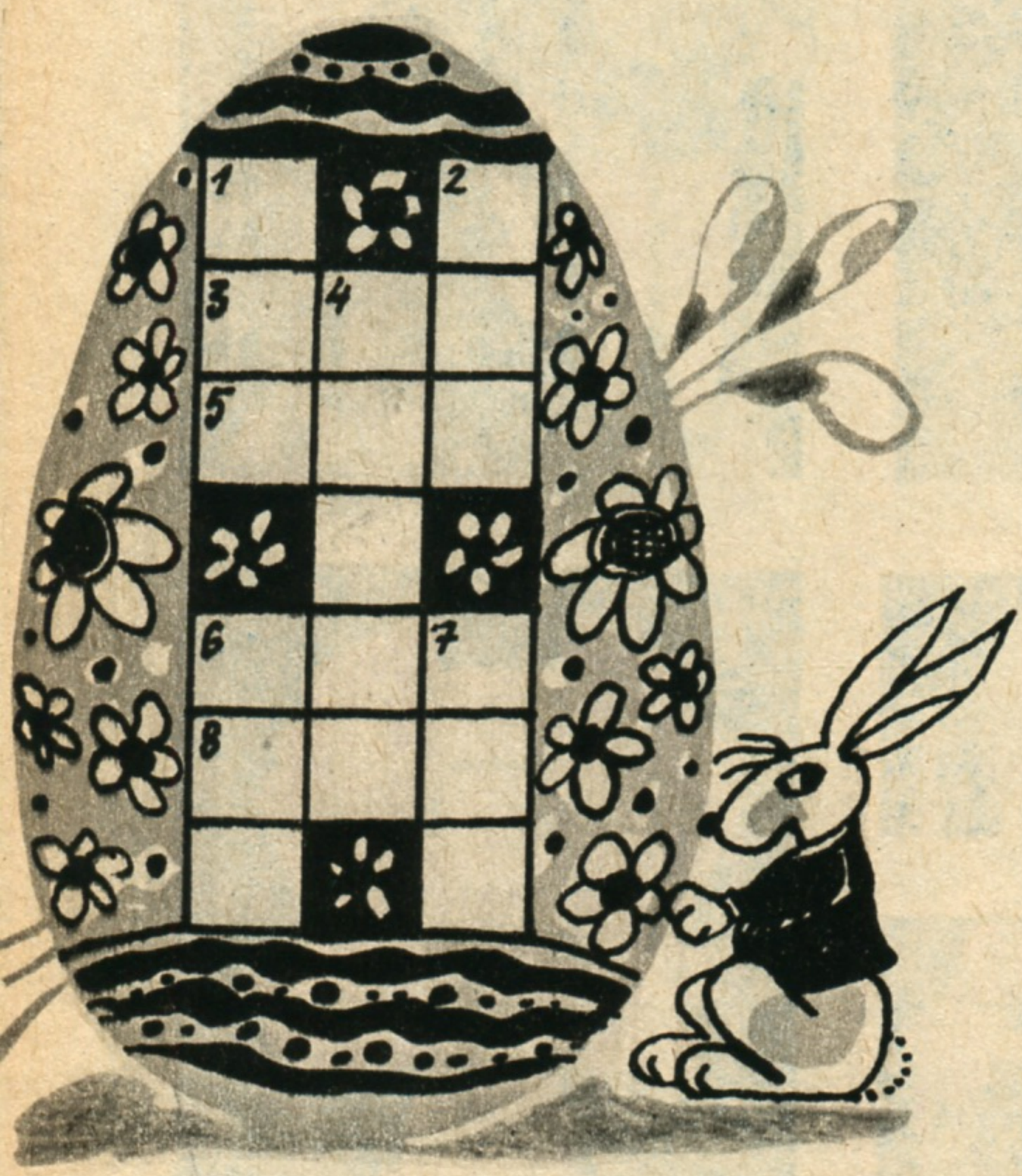

Ukryte miasto

Nazwy miast wojewódzkich należy ułożyć w takiej kolejności, aby ich pierwsze litery utworzyły nazwę jeszcze jednego miasta, również wojewódzkiego.

OLSZTYN, SZCZECIN, ELBLĄG, LUBLIN, NOWY SĄCZ, ZIELONA GÓRA.

REBUS

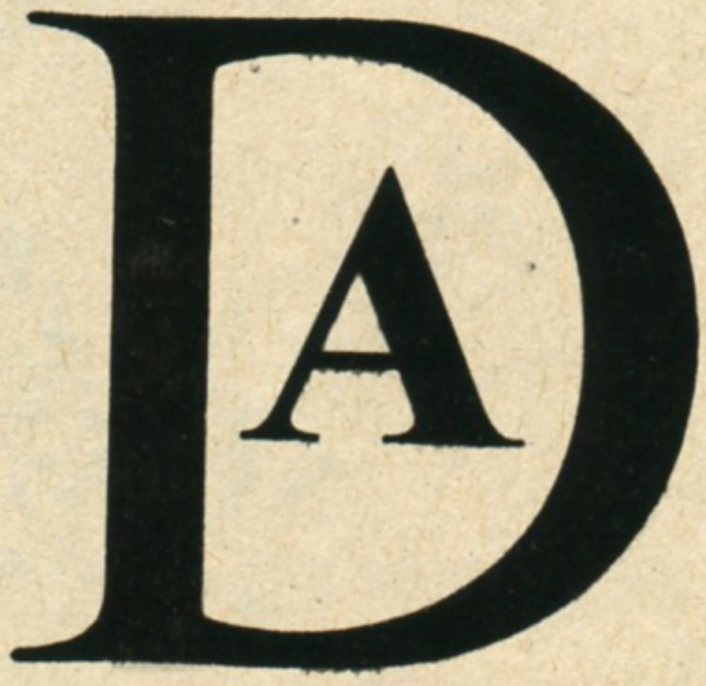

Jaka to rzeka?

Krzyżówka

Do kratek krzyżówki wpisz wyrazy o niżej podanych znaczeniach:

Poziomo: 3. duży okres w dziejach, 5. roślina, która daje włókno na tkaniny, 6. ryba z wąsami, 8. kąśliwy owad.

Pionowo: 1. to, do czego dążymy, 2. rzeka w Bieszczadach, a także nazwa samochodów ciężarowych, 4. rodzaj zagadki obrazkowej, 6. przyprawa do potraw, 7. jeden z miesięcy.

NASZ ZWIERZYNIEC

REKIN

(Carcharodon carcharias)

Niektóre duże rekiny nazywamy żarłaczami. Największy jest długoszpar — rekin olbrzymi, długości do 15 i więcej metrów, ważący blisko 5 ton. Mimo dużych rozmiarów nie jest on groźny dla ludzi. Żywi się przeważnie drobnymi skorupiakami. Nieco mniejszy jest rekin ludojad, zwany żarłaczem białym. Jest ogromnie żarłoczny. Napada na duże zwierzęta morskie: głowonogi, żółwie, foki, ryby. W gonitwie za żerem zapędza się w pobliże plaż, gdzie nieraz atakuje kąpiących się ludzi. Na szczęście, nie grasuje w morzach oblewających Europę.

Rekin ludojad może uchodzić za wzór najbardziej zaciekłego drapieżnika, gdyż nie oszczędza nawet przedstawicieli własnego gatunku. Młode rekiny, pozostając jeszcze w łonie matki, już pożerają się wzajemnie i rodzą się tylko dwa, trzy, najsilniejsze.

Rekin ludojad zjada wszystko, co wyrzucane jest ze statków — wszystko, co jest wonne: odpadki kuchenne, opakowania szklane i z tworzyw sztucznych. Ma doskonały węch. Z dużych odległości czuje zapach krwi rannego zwierzęcia czy człowieka. Ale są też zapachy, których ten rekin wręcz nie znosi. Właśnie zapachami ostrych środków chemicznych nasyca się wodę, gdy chce się odstraszyć drapieżnika.

Groźne dla ludzi są jeszcze inne, mniejsze rekiny, nie przekraczające 5 m długości. Są to: siedmioszpar plamisty, żarłacz śledziowy, ostronos i twarosz, oba żyjące w Morzu Śródziemnym, niebezpieczny żarłacz tępogłowy, tygrysi, błękitny oraz rekin młot, który ogłusza ofiarę uderzeniem głowy podobnej rzeczywiście do młota. Jest też rekin kosogon o ogonie podobnym do kosy, którym tłukąc na lewo i na prawo i okrążając coraz ciaśniej łowisko, spędza ryby w ciasną gromadę i pożera razem z ptakami znajdującymi się na powierzchni.

Rekiny półtorametrowej długości nazywamy rekinkami. Do rekinków należą — plamisty, psi, leniwy i natalski: W przeciwieństwie do dużych rekinów, które są żyworodne, rekinki znoszą jaja, a na przykład rekinek natalski i leniwy znoszą czworokątne jaja z czepnymi nitkami, dzięki czemu wiry wodne nie przetaczają ich po dnie morskim.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Justyna Bednarska

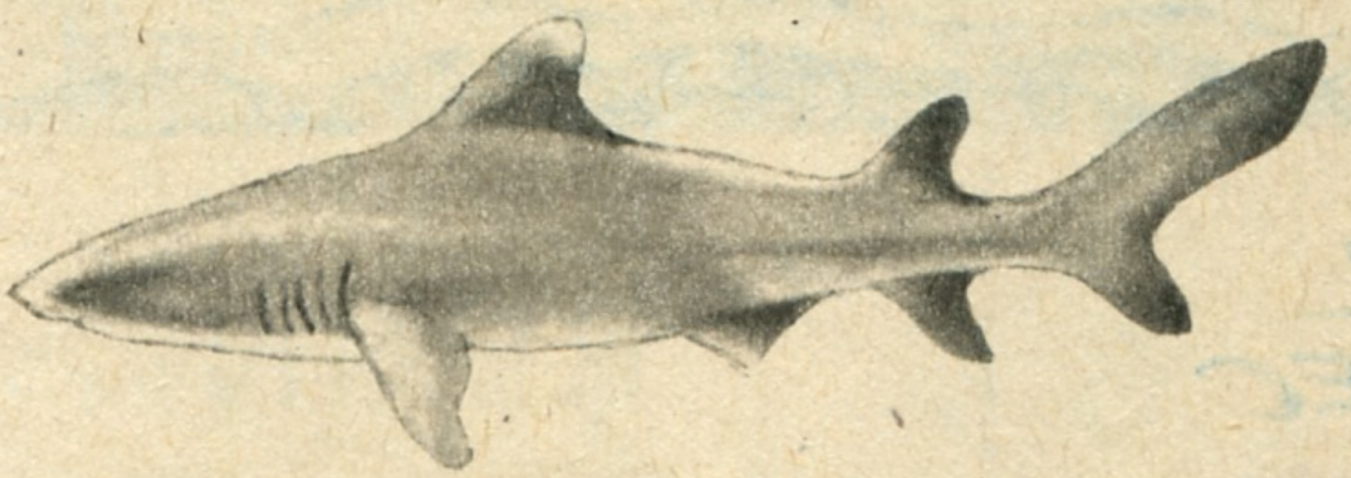

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY NA II PÓŁROCZE 1989:
kwartalnie — 600 zł,
półrocznie — 1200 zł,
rocznie — 2400 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Alicja Olszewska (zastępca redaktora naczelnego), Jadwiga Przeczek, Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego).

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO XV Oddział w Warszawie Nr 1858-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotogr. 70 g, rola 75 cm, kl. III.

Zam. 7442/89 O-5
Nakład 280 300 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

REKIN

Fot. Michał Wlaziński *Rys. Ewa Salamon*

CENA 70 ZŁ